

MARIAN HIPWELL
PLOMIENNE UCZUCIE



Przełożył Cezary Ostrowski

Rozdział 1.

— Panna Forester? Witamy w Calanarze.

Głos był spokojny, zabarwiony zaledwie odrobiną ciepła, mimo serdecznych słów powitania. Szare oczy patrzące na Tansy zdradzały dezaprobatę, której ich właściciel nie potrafił ukryć. Usta Tansy zacisnęły się. Nie po to przerwała ważne negocjacje i przetrzymała kilka godzin niewygody na promie pomiędzy stałym lądem a tą dziwnie nazwaną wyspą, by spotkać się z dezaprobatą ze strony nieznanego, a zwłaszcza osoby, która prawdopodobnie była obecnie na jej usługach.

— Nazywam się Mark Harmon.

Sposób przedstawienia się potwierdził jej obawy. Zauważyła jego wysoką sylwetkę pomiędzy innymi oczekującymi na przybycie promu i odgadła, że ma do czynienia z dyrektorem generalnym firmy swego dziadka; człowiekiem, który zgodnie z danymi, jakie otrzymała od prawników zajmujących się majątkiem Bensona Whittona, prowadzi całość interesu samodzielnie od kilku ostatnich tygodni.

— Czy to pani bagaż? Tylko jedna mała walizka? — Wskazał w kierunku walizeczki przy jej nogach, a ona skinęła głową.

— Tak. Nie zabawię tu długo — powiedziała nieobecnym głosem, niepokojąc się, gdzie jest telefon, gdyż odczuwała potrzebę natychmiastowego skontaktowania się ze swoim biurem. Nie znajdowała się zbyt daleko od stałego lądu, a jednak, sądząc po jej zachowaniu, równie dobrze mogła przebywać na drugim końcu świata. Całą nadzieję pokładała więc w utrzymaniu stałego kontaktu z lądem.

— Och, tak. — Gdy spotkali się wzrokiem, dojrzała czającą się w jego oczach ironię. — Jest tu pani jedynie po to, by wszystko wyprzedać, prawda?

— Zgadza się — odpowiedziała Tansy chłodno, poirytowana jego dotychczasowym tonem. Jej plany odnośnie do interesu, który tak niespodziewanie odziedziczyła, nie powinny go obchodzić. Nawet teraz, w jakiś czas po tym wszystkim, wydawało jej się dziwne, iż została spadkobierczynią kwitnącego interesu po dziadku, którego nigdy nie poznała i o którym myślała, że nie ma pojęcia o jej istnieniu.

— Sądziłem, że będziemy mieli okazję spotkać się na pogrzebie. — Dezaprobatą w jego tonie nie pozostawiała wątpliwości.

Odparła obronnie:

— Wyjechałam z miasta w interesach, kiedy umarł mój dziadek. Pogrzeb odbył się, nim pracownicy zdążyli mnie powiadomić. — Cały

czas miała świadomość, że mężczyzna ją potępia. Był sceptyczny wobec jej wyjaśnienia, co dało się zauważyć. Poza tym, być może zastanawiał się, co przyniesie najbliższa przyszłość, teraz, gdy Benson Whitton już nie żył. Była w stanie go zrozumieć. Jej dziadek z całą świadomością pozostawił prowadzenie interesu swemu dyrektorowi naczelnemu, szczególnie w ostatnich miesiącach życia, a Mark Harmon spodziewał się pewnie, iż sprawy potoczą się dalej podobnym torem pod jej zarządem. Po przejęciu interesu przez Paula Tregartha z Tregarth Leisure Industries, jak się spodziewała, wszystko potoczy się zupełnie inaczej.

Jej decyzja co do sprzedaży zaskoczyła zupełnie Marka Harmona, gdy wspomniała o niej krótko przez telefon kilka dni wcześniej. Jego gniew ujawnił się natychmiast w nagłej zmianie tonu. Jak sobie przypominała, mieścił się jednak w granicach, jakich wymagała pozycja podwładnego.

— Jak długo zostanie pani tutaj? — zapytał, gdy szli do zaparkowanego nie opodal land-rovera.

— Och — odrzekła Tansy. — Wzięłam kilka tygodni wolnego, lecz chcę wracać najszybciej jak to możliwe. Obecnie zajmuję się bardzo ważną sprawą i nie mogę sobie pozwolić na długie przebywanie poza biurem.

— Chodzi o reklamę, prawda? — spojrzał na nią krótko. — To niezwykle interesujące, ale mam nadzieję, że na Calanarze też się pani nie będzie nudzić.

Właśnie odjeżdżali i Tansy spojrzała z zaciekawieniem przez okno, w miarę jak samochód opuszczał port w kierunku wiejskiej drogi, utrwalając w pamięci pierwszy obraz tego miejsca. Mgła, która pokrywała linię brzegową wyspy, gdy Tansy znajdowała się na promie, rozwiała się, odsłaniając widok na to, co znajdowało się w oddali. Na zachodzie mogła zauważyć sylwetki wzgórz o fioletowych zboczach, podczas gdy na wschodzie błyszczało morze, jak srebrne płótno w bladym świetle popołudnia.

— Zapomniałem, że to pani pierwsza wizyta. — Chociaż starał się nadać swemu głosowi naturalny ton, Tansy wciąż wyczuwała w nim nutkę krytycyzmu.

— Mój dziadek i ja nie utrzymywaliśmy zbyt zażyłych stosunków — poinformowała go obojętnie. — Zresztą, jak przypuszczam, wie pan o tym.

— Benson nie dyskutował ze mną na temat swych prywatnych spraw — odparł chłodno. — Mimo to wiem, jak wyglądają niektóre z nich.

Moja matka i matka pani były dobrymi przyjaciółkami dawno temu. Prawdę mówiąc, nasze rodziny znają się od lat.

— Och! — Tansy spojrzała na niego z zaciekawieniem. Wydawało jej się, że prawdopodobnie wiedział więcej o związkach pomiędzy jej matką a dziadkiem niż ona sama. Matka zawsze niechętnie rozmawiała o przeszłości, a wiedząc, jak wiele bólu sprawiają jej wspomnienia, Tansy rzadko poruszała ten temat. Wiedza o tym, co Benson Whitton uczynił z małżeństwem jej rodziców, była wystarczająca... Spojrzała na chmurny profil siedzącego obok mężczyzny zgadując, iż wcale nie odpowiada mu perspektywa towarzyszenia jej przez najbliższych parę dni. Zwłaszcza, że pociągało to za sobą konieczność udawania gospodarza wobec kobiety, której firma Whitton Lodge Nurseries nie interesowała nawet za grosz.

Świadoma przedłużającej się ciszy, podjęła wysiłek rozmowy:

— Prawdopodobnie macie akurat gorący okres w szkółkarstwie?

— Zgadza się. — Jego głos zabarwił się odrobiną entuzjazmu. — Obecnie dbamy głównie o przygotowania do wystawy kwiatowej, która odbędzie się w tym roku. Teraz, gdy uporaliliśmy się już z letnią sprzedażą, zaczynamy myśleć o jesieni. Zerknął na nią uważnie.

— Szkoda, że nie będzie pani na wystawie kwiatowej. Jestem pewien, że spodobałaby się pani.

— Szkoda — zgodziła się uprzejmie Tansy.

— Czy ma już pani na oku jakiegoś kupca, skoro zdecydowała się pani na sprzedaż? — zapytał szybko, jakby niechętnie dyskutował o tej sprawie. To znaczy, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, abym spytał — dodał.

— Oczywiście, że nie. W końcu rzecz dotyczy również pana. Odbyłam już pewne negocjacje, ale to nie przesądza o niczym.

Tansy mówiła spokojnie, dokładnie dobierając słowa. Chociaż w krótkich rozmowach z Paulem Tregarthem nie uzgodniono niczego szczególnego, miała uczucie, że jego plany co do Whitton Lodge Nurseries są inne. Będąc właścicielem wielu upraw szkółkarskich, Tregarth chciał prawdopodobnie włączyć weń również tę szkółkę. Przy okazji zapewniał, iż nie będzie dokonywał redukcji dawnego personelu. Zauważywszy entuzjazm Marka Harmona przy rozmowie na temat szkółkarstwa, miała dziwne uczucie, że plany kupieckie Tregartha nie spotkają się z jego aprobatą.

Skręcili właśnie, kierując się na otwarte wiejskie tereny i zwolnili nieco, gdy land-rover musiał się wlec za jaską ciężarówką.

— Szkółki znajdują się tam; może je pani stąd zobaczyć. — Mark Harmon wskazał w dal, a Tansy podążając za jego palcem dostrzegła linię budynków. Słońce odbijające się od rzędów szklarni oślepiło ją, osłoniła więc dłonią oczy.

— Główna szklarnia znajduje się z przodu. — W jego głos wkradła się duma. — Nie widać stąd jednostki badawczej, ale tam... — wskazał w lewo — ... to ten budynek, Whitton Lodge.

Tansy pochyliła się do przodu, chcąc lepiej widzieć. Gdy podjechali bliżej, odniosła wrażenie, że wszystko jest tu jakby większe, niż się spodziewała.

— Jednostka badawcza? — Spojrzała na Marka Harmona pytająco.

— Tak. Sprawdzamy nowe szczepy i metody wysiewu — poinformował ją. — Pani dziadek był zwolennikiem eksperymentowania.

Tansy westchnęła. Wydawało się jej, iż odkąd poznała tego mężczyznę, wykorzystywał każdą okazję, by podkreślać zalety jej dziadka i szklarni, zaznaczając przy tym, iż ona sama jest kimś z zewnątrz, z niewielką wiedzą na temat tej dziedziny i jeszcze mniejszą ochotą zdobycia takowej.

Im prędzej ona i Paul Tregarth doprowadzą negocjacje do satysfakcjonującego końca, tym lepiej, jeśli wszystko miało się potoczyć właśnie w ten sposób.

Trakt stał się nieco szerszy, przypominając bardziej drogę, gdy zbliżyli się do wjazdu do szkółkami. Tansy mogła teraz uważniej się wszystkiemu przyjrzeć. Dom wyrastający w oddali między rzędami szklanych budowli to bez wątpienia Whitton Lodge. Z tej odległości wyglądał na duży i imponujący, a jednak pasował charakterem do otoczenia. Okna na parterze wychodziły na szklarnie i Tansy natychmiast wyobraziła sobie oczyma duszy staruszka, swego dziadka, który doglądał tu wszystkiego. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jaki był ten mężczyzna, który na tyle potępiał małżeństwo swej córki, że celowo zrobił wszystko, co mógł, by je zniszczyć, zrywając z nią wszelkie stosunki i rozjątrząc rany, których nie uleczył nawet czas. Taki człowiek niełatwo się przełamywał i prosił o wybaczenie, a jego córka też nie czyniła żadnych kroków ku pojednaniu. Jak już wiele razy wcześniej, Tansy zastanawiała się, co mogła uczynić, by ich powtórnie do siebie zbliżyć. Jednak wszelkie próby wspomniania o tym matce spotykały się z niepowodzeniem. A teraz Benson Whitton już nie żył i było na to za późno.

Land-rover minął właśnie szklarnie, kierując się w stronę domu i zatrzymując przed dębowymi drzwiami. Tansy spojrzała z zainteresowaniem na budynek.

— A więc to tutaj mieszkał mój dziadek — wyszeptała.

Wysiadając z samochodu, Mark Harmon zatrzymał się i skinął głową, podążając za jej wzrokiem w stronę domu.

— Ostatnimi laty był bardzo samotny — powiedział po chwili cicho.

Tansy zdała sobie sprawę, że mruga oczami z poirytowania. Dlaczego z takim uporem wypominał jej porzucenie dziadka?

— Tak. Z tego, co o nim słyszałam, wynika, że niełatwo nawiązywał przyjaźnie — szepnęła chłodno.

— Był dumny i uparty, przyznaję — odparł Mark. — Lecz potrafił też być dobrym przyjacielem dla ludzi lojalnych wobec niego.

Tansy zastanawiała się, czy to kolejny przyczynik do jej osoby.

— A tam mieszkamy, moja matka i ja. — Wskazał na alejkę wiodącą do ślicznego białego domku za głównymi budynkami szklarni.

— To Gatehouse Cottage. Nazywa się tak, gdyż niegdyś zamieszkiwał to miejsce pan tej wyspy; w oddali widać ruiny zamku. Gatehouse Cottage stanowił kwaterę straży. Oczywiście nieco go zmodernizowaliśmy — mówił to kwaśnym tonem. — Moja matka prowadziła dom pani dziadka i nadal się tym zajmuje. Jak sądzę, była tam dziś rano i przygotowała wszystko na pani przyjazd. — Mówiąc to zmierzał do drzwi Whitton Lodge. Dobył klucz z kieszeni.

— Umieściła panią w małej sypialni na tyłach, jak się domyślam — kontynuował. — Tam jest cieplej i z okien rozciąga się wspaniały widok na wzgórze.

Otwierając drzwi stanął z boku, by przepuścić Tansy, a potem wszedł za nią, dając jej wolną chwilę na rozejrzenie się. Dom był gustownie umeblowany i przestronniejszy, niż wydawało się z zewnątrz. W oknach wisiały firanki, nadając przytulny wygląd ewidentnie męskiemu wnętrzu. Aranżacje roślinne łagodziły surową atmosferę, a w nozdrza wkradał się lekki zapach lawendy. Tansy zdawała sobie sprawę, że Mark Harmon oczekuje od niej wyrażenia opinii.

— Wszystko tu jest bardzo ładne — powiedziała szybko. Zmierzając do małego stoliczka w holu, uniosła wazon z białymi i srebrnymi kwiatami, stojący na nim, i wciągnęła ich zapach.

— Śliczne — zamruczała. — Proszę podziękować matce za tak przyjemne przygotowanie wszystkiego.

Mark Harmon zamrugał oczami i Tansy odniosła wrażenie, że uraziła go tymi słowami. Zdała sobie sprawę, że jej uwagi brzmią formalnie i oschle, choć wcale tego nie chciała.

— Przekażę podziękowania od pani — stwierdził sztywno. — A teraz zostawię panią, by się pani rozpakowała. Jeżeli jest coś, czego pani potrzebuje, łatwo się z nami skontaktować. — Wskazał w kierunku dwóch telefonów na stole: — Jeden to bezpośrednia linia na zewnątrz, a drugi wewnętrzny, połączony z nami. Lodówka jest pełna, jeśli będzie pani głodna. — Zawahał się. — Matka prosiła, abym zaprosił panią do nas na obiad dziś wieczorem, lecz jeśli wołałaby pani raczej odpocząć...

— Och, przyjdę z wielką przyjemnością — zapewniła go Tansy.

Przez twarz mężczyzny przebiegł dziwny grymas. Odgadła, że oczekiwał innej odpowiedzi. Może nawet miał nadzieję, że odmówi. Nie pałała szczególną chęcią do spędzenia wieczoru w jego towarzystwie, lecz odmowa skorzystania z zaproszenia mogłaby urazić jego matkę.

— A zatem już pójdę. — Ruszył w kierunku drzwi. — Około ósmej?

— Jak państwu wygodnie — odparła Tansy.

— Świetnie. — Przez jego twarz przebiegł krótki uśmiech i przez chwilę wyglądała mniej groźnie. Mimowolnie porównała go z Davidem Firthem, kolegą z biura i częstym towarzyszem; człowiekiem, który musiał zajmować się wszystkimi interesami podczas jej pobytu na wyspie. Między tymi dwoma mężczyznami istniało pewne podobieństwo. Nie mogła się oprzeć temu skojarzeniu. Obaj wykazywali jednakowe oddanie pracy i brak cierpliwości wobec ludzi o innych poglądach.

David miał jednak nieodparty urok, którym od razu zjednywał sobie ludzi, w tym drugim zaś tkwiła rezerwa, którą, według jej przeczucia, będzie trudno wykorzystać. Nawet jeśli jego opinia o niej nie była aż tak zła.

— Moja asystentka, Heather Parker, zje obiad razem z nami — powiedział nieoczekiwanie. — Będzie więc miała pani również szansę poznania kogoś z personelu.

— Świetnie — stwierdziła szczerze Tansy. A jednak nie mogła dociec, czy za zaproszeniem kryje się jedynie chęć poznania jej, czy coś więcej. Czy nie myślał na przykład, że będąc nadmiernie troskliwym, przyczyni się do zmiany jej postanowień? Nie wiedziała. Jednego wszakże była pewna. Nie miała zamiaru dać mu sobą manipulować. Ani jemu, ani komukolwiek innemu na tej wyspie...

Po jego wyjściu przez jakiś czas wałęsała się po domu. Znajdowało się w nim kilka sypialni i zadziwiająco nowoczesna łazienka, z której natychmiast skorzystała, by odświeżyć się w pachnącej kąpieli. Potem, akurat gdy zbierała się do wyjścia na zewnątrz i obejrzenia ogrodu, zdała sobie sprawę, że dzwoni telefon. Pobieгла go odebrać.

— Panna Forester? Mówi Paul Tregarth. Bardzo się cieszę, że panią zastałem. — Głos w słuchawce był miły.

— Och, pan Tregarth. Witam! Jak się pan miewa? — odezwała się Tansy.

— Świetnie, dziękuję. Proszę posłuchać... — Z pewnością zależało mu na szybkim przejściu do rzeczy. — Zamierzałem zorganizować nasze spotkanie jak najszybciej, ale wyskoczyło mi coś pilnego. Mam ważne interesy w Europie, które nie mogą czekać.

— Och! — Tansy nie potrafiła ukryć zawodu. Zależało jej na rozpoczęciu negocjacji równie szybko jak jemu.

— Naprawdę mi przykro, że nie możemy się jeszcze spotkać — oznajmił przepraszająco. — Powinienem wrócić za dzień lub dwa, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Czy mogłaby pani poczekać?

— No cóż... — zawahała się Tansy. — Jak długo? Nie planowała pozostać na wyspie dłużej, niż było to konieczne.

— Proszę mi zaufać — zaapelował. — Wróć na spotkanie z panią najszybciej, jak to będzie możliwe. Mógłbym się też skontaktować z pani prawnikami w mieście.

— Nie. — Ostrożność powstrzymywała ją pomimo chęci szybkiego załatwienia sprawy. Specjalnie przyjechała na wyspę, by załatwić wszystko osobiście. Pracownicy Whitton Lodge Nurseries musieli otrzymać wiadomość o przejęciu firmy przez nią, a nie z jakiegoś innego źródła.

— Poczekał na pański powrót — dodała.

— Świetnie. Będziemy w kontakcie — zakończył i brzęknęła odkładana słuchawka. Odkładając swoją Tansy zamarła. Zanosilo się na to, że rzecz potrwa dłużej, niż się spodziewała. Spoglądając na zegarek, przypomniała sobie, że chciała zadzwonić do Davida Firtha, ale było już za późno, by złapać go w biurze. Gdy zadzwoniła do jego mieszkania, nikt nie odpowiadał. Z pewnością wybrał się gdzieś na wieczór. Przez chwilę czuła żal, że nie jest z nim, tylko na tej małej wyspie i że przygotowuje się do kolacji z człowiekiem, który ledwie maskuje swe uprzedzenie do niej. Później ubrała się, nie chcąc utwierdzać go w jego niechęci i jednak starając się wyglądać jak najlepiej. W końcu była

właścicielką Whitton Lodge Nurseries, nawet jeśli tylko czasową; ten fakt należało ukazać z całą jasnością Markowi Harmonowi. Zarzucając okrycie na ramiona, opuściła dom i udała się w kierunku Gatehouse Cottage. Podchodząc bliżej, zauważyła, że dom jest większy, niż się wydawał z odległości dzielącej go od Lodge. Nie tak imponujący może, ale miał miłą, zapraszającą atmosferę, podkreśloną prowadzącym doń szpalerem kwiatów. Gdy podeszła do frontowych drzwi, rozwarły się one i wyszła jej naprzeciw uśmiechnięta starsza kobieta.

— Panna Forester! Tak się cieszę, że zdecydowała się pani przyjść.

Kobieta bez wątpienia mówiła szczerze. Szła w kierunku Tansy z rękoma rozłożonymi w przyjaznym geście.

— Jestem Laura Harmon, matka Marka — przedstawiła się. Nie miała w sobie nic ze sztywności syna, a jej uśmiech przepojony był ciepłem. Tansy natychmiast mu uległa.

— Dziękuję za zaproszenie — odparła wylewnie.

Gdy staruszka wprowadziła ją do holu, Tansy usłyszała stłumioną rozmowę; głęboki głos Marka Harmona zmieszany z jakimś innym, łagodniejszym.

— Jest pani lustrzanym odbiciem swego dziadka, wiedziała pani o tym? — stwierdziła przyglądająca się jej z uznaniem Laura Harmon.

— Nigdy go nie spotkałam — wyjaśniła Tansy.

— No, cóż! — Delikatnie zmieniła temat staruszka. — Ale teraz jest pani tutaj.

Słyszając to, Tansy zdała sobie sprawę, iż tutejsi ludzie oczekują od niej przejęcia spraw Whitton Lodge, teraz gdy już przybyła na wyspę. Powiedzenie sobie, że Mark Harmon musi podporządkować się jej decyzji, stanowiło jedną sprawę; wyjaśnienie tego kobiecie o słodkiej twarzy będzie zupełnie czymś innym. Nie było jednak czasu na dalsze introspekcje. Właśnie zbliżał się do niej Mark Harmon z oczyma przepełnionymi odpowiednią dozą formalnej gościnności.

— Panno Forester, widzę, że odnalazła nas pani — zamruczał.

Laura Harmon skarciła syna spojrzeniem.

— Prosiłam cię, byś wskazał pani Forester drogę osobiście — upomniała go.

— Czy moglibyśmy być nieco mniej formalni — poprosiła Tansy. — Na imię mam Tansy.

— Tansy. Jak ślicznie! — Głos Laury Harmon był pełen aprobaty. — Wyobrażam sobie, że to wybór pani matki. Ona zawsze kochała kwiaty. Wrotycz roślinie u nas.

A jednak nigdy nie powróciła, by je obejrzeć, przemknęło przez myśl Tansy. Rozdzźwięk pomiędzy Ben-sonem Whittonem a jego córką był wystarczająco głęboki, by przyćmić wszystko inne.

— Wyemigrowała, jak słyszałam — skomentowała Laura.

— Tak, rok temu. Ona i Peter, jej mąż, są bardzo szczęśliwi — powiedziała Tansy. — Pan Harmon mówił mi...

— Proszę mówić do mnie Mark, skoro mamy być mniej formalni — stwierdził.

Tansy spojrzała na niego z ukosa, rozgniewana tą propozycją. Wołała, aby zachował dystans. Odpowiedział jej wyzywającym wzrokiem i po raz wtóry zdała sobie sprawę, że jeśli pragnie, by wszystko poszło gładko, musi mieć się przed nim na baczności.

— Świetnie — odparła chłodno. Kierując następne zdanie do Laury Harmon, kontynuowała: — Mark mówił mi, że była pani dobrą przyjaciółką mojej matki dawnymi czasy. Ona nigdy nie opowiadała o okresie spędzonym na wyspie. Prawdę mówiąc dopiero jako nastolatka dowiedziałam się, że mój dziadek nadal żyje.

— To fakt. — Laura Harmon uśmiechnęła się refleksyjnie. — Chociaż już dawno straciliśmy kontakt. Proszę, wejdz i poznaj Heather. — Skierowała Tansy do salonu. — Ona jest twoją krewną; czy wiedziałas o tym? Jej rodzice byli kuzynostwem twojego dziadka.

— Doprawdy? — Tansy spojrzała na nią ze zdziwieniem. — Nie miałam pojęcia.

Wchodząc do pomieszczenia ujrzała kobietę stojącą przy oknie. Była w jej wieku. Uśmiechnęła się nerwowo, a potem podeszła do Tansy.

— Cześć — powiedziała Tansy ciepło, próbując złagodzić zdenerwowanie tamtej. — Jesteśmy do pewnego stopnia kuzynkami, jak słyszałam.

— Zgadza się. — Mimo przyjacielskiej odpowiedzi oczy kobiety miały czujny wyraz, co Tansy natychmiast zauważyła.

— Drinka? — Mark Harmon patrzył na Tansy zachęcająco, więc zgodziła się. — A dla ciebie to, co zwykle, Heather? — dodał pytająco.

— Tak, proszę, Mark.

Tansy dostrzegła, że zażyłość między nimi wykracza poza normalne ramy relacji między współpracownikami. Nie byłoby wielką niespodzianką, gdyby jej ocena sytuacji okazała się słuszna. Na pierwszy rzut oka Heather Parker wydawała się doskonałą partią dla Marka Harmona. Z kręgu Whitton, wyspiarka jak on, to samo wychowanie i prezencja. Miała wystarczająco dużo z nim wspólnego, nie wspominając

nawet o zainteresowaniu Whitton Lodge Nurseries. Czują, że Heather Parker doskonale wpasowałaby się w życie Marka Harmona.

Atmosfera rozluźniła się nieco, gdy zasiedli do posiłku. Mark wybrał sobie miejsce przy Heather, a naprzeciw Tansy, tak że jeszcze bardziej czuła, iż jednoczą się we wspólnym przymierzu, gotowi odparować każde zagrożenie ich znormalizowanemu życiu.

— Jestem pewna, że Tansy będzie chciała jutro obejrzeć szkółki, Mark. — Laura uniosła głowę sponad dzbanka z kawą.

— Czyżby? — W głosie Marka było coś, co natychmiast przyciągnęło spojrzenie Tansy. Oparł się jej wzrokowi, przesuwając palcami po trzymanym kieliszku z winem. Pomyślała, że uczynił to prawie tak, jakby chciał zabronić jej odpowiedzi i ujawnienia planów co do szkółek. A był już na to najwyższy czas. Dalsze zatajanie nie było fair, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę gościnność, z jaką się spotkała. Gniew z powodu oczywistej próby otwartego przeforsowania sprawy mieszał się z zażenowaniem. Nie mogła udawać przed sobą, że ci ludzie ucieszą się na wieść o zamiarze sprzedaży firmy Tregarthowi, ale cóż miała do wyboru? Czyż nie wiedzieli, że w interesie wszystkich leżała sprzedaż jej komuś, kto był przygotowany na inwestowanie w nią pieniędzy? W rękach niezainteresowanego właściciela, mogła jedynie...

Dlaczego nie potrafili zrozumieć, że nie chciała być zaangażowana w cokolwiek, co wiązałoby się z Ben-sonem Whittonem, po tym jak potraktował jej rodziców?

Rozglądając się wokół, zobaczyła wazon z kwiatami na stoliku do kawy. Ich srebrzystobiałe płatki przypominały te, które widziała w Lodge. Unosząc je, poczuła zapach.

— Śliczne, prawda? — spytała Laura z uśmiechem. — To miejscowe dzikie kwiaty, jedyne w swym rodzaju. Nie rosną nigdzie indziej na świecie, z tego co wiemy. — Biorąc wazon od Tansy, delikatnie potarła dłonią pierzaste płatki. — Nazywamy je Łzami Merlina.

— Cóż to za dziwna nazwa! — Ciekawość Tansy mieszała się z ulgą spowodowaną takim obrotem rozmowy, który odsuwał, choćby tylko na parę minut, oświadczenie, jakie musiała złożyć na temat firmy.

— Z tymi kwiatami wiąże się pewna legenda — wyszeptła Laura. — Zgodnie z nią, Czarodziej Merlin* spędził tu swe dni. Prawdę mówiąc na wzgórzu istnieje jaskinia, lokalne miejsce widokowe zwane Pieczarą Merlina. Historia głosi, że więziono go tam. Zakochał się, lecz wybranka nie odwzajemniła jego uczuć, zwłaszcza gdy opuściła Camelot, a on wciąż podążał za nią. — Uśmiechnęła się szybko. — Przepowiedziano

mu, że zostanie uwięziony w jaskini na tym terenie. Dziewczyna namówiła go, by pokazał jej jaskinię, a nawet sprawiła, że odwalił głaz blokujący wejście do niej i wszedł do środka. Potem użyła swej magii, ażeby wtoczyć głaz z powrotem i uwięziła go wewnątrz.

* **Zamek Króla Artura, (przyp. tłum.)**

— Jakie to smutne — powiedziała cicho Tansy.

— Legenda mówi, że gdy zdał sobie sprawę z jej zdrady, zapłakał gorzko — kontynuował opowieść Mark Harmon. — Łzy przepłynęły pod kamieniem i wylały się na zewnątrz, spływając po wzgórzu. Wkrótce potem, jak mówi historia, pojawiły się tam te kwiatki, które rosną do dzisiaj. Nadano im nazwę Łez Merlina i do tej pory nie udało się ich wyhodować w jakimkolwiek innym miejscu.

— Zupełnie jakby to był dar Merlina dla wyspy — szepnęła Laura. — I jakby chciał on, aby tutejsi ludzie w ten sposób kultywowali pamięć o nim.

— Jesteś romantyczką, mamó! — Mark obdarzył ją pełnym afektu spojrzeniem. — Wygląda to raczej na próbę skłonienia nas do kultywowania pamięci o kobiecej zdradzie.

Te słowa, same w sobie niewinne, zabrzmiały w uszach Tansy barbarzyńsko i oskarży cielsko, jakby skierowane zostały przeciw niej samej. Zmusiła się do chłodnej reakcji.

— To chyba nie jest aluzja do mnie, prawda?

— Czy zamierza nam pani powiedzieć, że nagle pojawienie się Paula Tregartha na wyspie po tak długiej nieobecności, zbiegające się z pani przyjazdem, to przypadek? — rzucił wyzywająco. Tansy usłyszała za sobą głębokie westchnienie Laury i odwróciła się, posyłając jej przepraszające spojrzenie.

— Chciałam poczekać z omawianiem interesów do końca posiłku — powiedziała. — Jest prawdą, że Paul Tregarth wyraził zainteresowanie nabyciem szklarni...

— A więc miałem rację! — przerwał delikatnie Mark.

Tansy spojrzała na niego ostro.

— Nie ukrywałam faktu, że jestem zainteresowana sprzedażą — podkreśliła.

— Ale żeby jemu? — To ostatnie słowo zostało wymówione z dziką nienawiścią. — Zamierza pani przekazać szklarnie człowiekowi, który pragnie zrównać je z ziemią, by zrobić tu pole golfowe dla bogaczy? Sądzę, że jest pani świadoma jego planów wobec nas? — Mimo w miarę opanowanego tonu twarz mówiącego była biała z gniewu.

— Skąd może pan o tym wiedzieć? — spytała Tansy. — Przecież on ma plany...

— O, tak, ma plany! — Głośny śmiech Marka zabrzmiał dziwnie w zapadłej ciszy. — A co z pracownikami, panno Forester, z pracownikami pani dziadka, którzy lojalnie służyli mu przez całe lata? Czy pomyślała pani o nich?

— Pan Tregarth zapewnia mnie, że wszyscy będą mieli pracę — tłumaczyła Tansy.

— Jaką pracę? — Zapytał. — Chyba jako przystrzygacze trawników i słudzy dla bogaczy, którzy skorzystają z tego ośrodka? Czy tego mają się spodziewać fachowcy z wieloletnią praktyką w szkółkarstwie? Ludzie, którzy stali przy pani dziadku...

— Panie Harmon. — Pomimo opanowania w głosie Tansy trzęsła się z gniewu. Wstając spojrzała mu w twarz. — Wyjaśnijmy sobie pewne sprawy. Mój dziadek nie żyje. Obecnie ja jestem właścicielką Whitton Lodge Nurseries i to ja podejmuję decyzje odnośnie do przyszłości firmy.

Bezsilnie walcząc o panowanie nad gniewem, Mark Harmon spojrział na matkę.

— Czy ona nadal przypomina ci Bensona Whittona? — zapytał.

— Prawdę powiedziawszy, tak! — Tym stwierdzeniem Laura zaskoczyła ich oboje. — Zawsze upierał się przy tym, co uważał za słuszne. Nie pozwalał też nikomu, by mu rozkazywał! A teraz może ochłoniemy i porozmawiamy o tym spokojnie?

— Dlaczego? — Mark uczynił gest obojętności. — Prawdopodobnie wszystko jest już załatwione. My tu pracowaliśmy, opiekowaliśmy się szkółkami, a wszystko po to, by Tregarth przekształcił je w tereny klubowe! Jeśli chodzi o szklarnie i jednostkę badawczą, zostaną one zrównane z ziemią. Nie przydadzą mu się na nic. — Spojrział gorzko na Tansy.

— Wszystkie lata badań i eksperymentów pójdą na marne, a pani wróci na ląd z wypchanym kontem bankowym, zabezpieczona na stare lata; czego nie mogą oczekiwać pracownicy Bensona Whittona pod kontrolą Tregartha! Jeśli chodzi o jego ofertę pracy, to nie sądzę, aby z niej skorzystali. Czy uważa pani, że przyjąłbym pracę od Tregartha, nawet gdyby mi ją w ogóle zaproponował, w co wątpię!? — Zaciśnął pięści. — Po latach prób doprowadzenia Bensona Whittona do bankructwa, wszystko, co Tregarth musiał zrobić, gdy dowiedział się o jego chorobie, to poczekać na panią, by przekazała mu interes jak na tacy.

— Sytuacja wygląda niezupełnie tak! — Tansy próbowała zachować spokój. — Dotychczas jedynie rozmawialiśmy. W żaden sposób nie pozwolę Tregarthowi skrzywdzić pracowników dziadka! Przejęcia są na porządku dziennym i nie zawsze cierpi na tym przejmowany interes...

— Niech pani przestanie udawać, że zależy pani na pracownikach dziadka! — Teraz już nie usiłował ukryć gniewu. — Troszczy się pani jedynie o to, żeby wyjechać stąd...

— I tu się z panem zgadzam! — Nie wytrzymała Tansy. — A jeśli reszta mieszkańców wyspy przypomina pana, to im szybciej wyjadę, tym lepiej!

— Cieszę się, że przynajmniej jest pani szczerą! — Jego głos przepełniała satysfakcja.

— A czego pan ode mnie oczekuje? — Tansy nagle spojrzała na nich bezradnie. — Pracuję w reklamie. Jestem dużej klasy specjalistką i kocham swoją pracę; nie chcę zmieniać specjalizacji...

— Mogłaby pani zostawić wszystko tak jak jest, ze mną jako szefem — stwierdził Mark Harmon — zamiast sprzedawać to miejsce.

— A więc o to chodzi, tak? — Tansy spojrzała na niego ostro. — Chce pan, aby wszystko zostało po staremu, z panem na stanowisku, zarządzającym tym wszystkim!

Uchwyciwszy spojrzenie Heather przez ramię Marka, Tansy wstrzymała oddech ogarnięta nagłą myślą. Mark Harmon i Heather — daleka kuzynka Bensona Whittona, byli bliskimi przyjaciółmi. Widziała to jak na dłoni. Czyżby Mark zamierzał przechwycić firmę, co niewątpliwie znaczyło dla niego wiele, pobierając się z Heather? Czyżby miał uprzednio nadzieję, że Benson Whitton zostawi interes Heather? Całkiem możliwe, iż dotychczas nawet nie zdawał sobie sprawy z istnienia Tansy. Jeśli tak, to jakim ciosem musiało być dla niego ujrzenie, jak własne plany sypią się w gruzy! A jeśli choć przez chwilę pomyślał, że będzie w stanie manipulować nią w zamierzonym kierunku, to powinien zdać sobie jak najszybciej sprawę z beznadziejności tych planów. Nie była Heather Parker. Ten człowiek nie będzie jej mówić, co ma robić.

Jego nie usprawiedliwione w jej oczach ataki jedynie wzmacniały determinację. To dziedzictwo, którego ani nie szukała, ani nie pragnęła, nie będzie przeszkadzało w jej normalnym życiu. Benson Whitton zrujnował życie jej matki, ponieważ nie spełniła określonych oczekiwań. Ale ani on, ani jego firma nie będzie w stanie uczynić tego samego z życiem wnuczki. Interes z Tregarthem zostanie ubity, czy podoba się to

Markowi Harmonowi, czy nie, a im szybciej ona opuści tę wyspę, tym lepiej.

Zdając sobie nagle sprawę z powstałej atmosfery, odwróciła się i spojrzała bezradnie na Laurę Harmon.

— Przepraszam, nie miałam zamiaru... nie chciałam...

— Nie ma sprawy — oznajmiła starsza pani kładąc jej dla dodania otuchy dłoń na ramieniu. Odzyskała już swą zwykłą, dostojną postawę. Tansy poczuła ulgę, wiedząc że matka Marka Harmona, mimo swej lojalności wobec niego, nie zwróciła się przeciwko niej. Od początku instynktownie ją polubiła, czując, że gesty przyjaźni z jej strony są szczerze. Miała nadzieję, że w Laurze Harmon zyskała choć jednego przyjaciela na wyspie. Być może jedynego...

— Proszę nie czuć się zobowiązaną do wyjścia — zaprotestowała starsza pani, widząc, jak Tansy wstaje od stołu.

— Sądzę, że tak będzie najlepiej — odparła Tansy. — Może porozmawiamy dalej nad ranem, gdy ze wszystkich nieco opadną emocje.

Skierowała się do drzwi, pragnąc jedynie uwolnić się od tej napiętej atmosfery. Ku swemu zdziwieniu uważała ten wieczór za udany i oddałaby wszystko, by uniknąć tak niefortunnego końca. Ale im szybciej oddali się od Marka Harmona, tym lepiej. Obawiała się, że mogłaby powiedzieć jeszcze parę rzeczy, których by potem żałowała. Mężczyzna nie odzywał się przez ostatnich parę chwil, odwrócony do niej tyłem, co zauważyła wychodząc.

— Bardzo podobał mi się ten wieczór, a jedzenie było wspaniałe. Dziękuję — powiedziała szczerze, gdy Laura Harmon przyniosła jej okrycie.

— Cała przyjemność po naszej stronie — mruknęła do niej gospodyni otwierając drzwi. — Może wpadniesz do nas rano na kawę? Dobrze byłoby uciąć sobie małą pogawędkę tylko we dwie.

— Chętnie — odpowiedziała ciepło Tansy. Gdy chciała odwrócić się i odejść, Laura dotknęła jej ramienia i spojrzała jej głęboko w oczy.

— Mówiąc, że przypominasz mi twojego dziadka, naprawdę tak myślałam — powiedziała pani Harmon po chwili wahania. — Nie tylko pod względem wyglądu, ale także pod każdym innym. Jesteś z Whittonów, prawda!

Tansy zadrżała. Nie miała wątpliwości co do szczerości tych słów, a jednak była to ostatnia rzecz, jaką chciałaby usłyszeć. To, że jest podobna do Bensa Whittona.

— Jeśli mogę uczynić taką uwagę, to wydajesz się raczej zdziwiona faktem pozostawienia ci firmy przez niego — powiedziała Laura z wahaniem.

Tansy spojrzała na nią zdumiona. Podziwiała intuicję tej kobiety.

— Byłam — potwierdziła uczciwie. — I do tej pory zastanawiam się, dlaczego tak zrobił. Wiem, że jestem jego wnuczką, ale...

— Może domyślam się powodu — ostrożnie zaczęła Laura. — I jest on taki, jak już mówiłam; uderzające jest twoje podobieństwo do niego.

— A skąd on mógł o tym wiedzieć? Nigdy się nie spotkaliśmy — zastanawiała się Tansy.

— Jednak wiedział o tobie wszystko, śledził twoją karierę — odparła Laura.

— To znaczy, że śledził moje poczynania? — Tansy szeroko rozwarła oczy. — Wcale się nie dziwię, wiedząc to, co o nim wiem.

— Pewnego dnia być może przekonasz się. — Laura przerwała, gryząc się w język.

— Tak? O czym się przekonam? — spytała wyzywająco Tansy. — Jakim był przemitym i słodkim staruszkim?

— Słodki to nie jest właściwe słowo w stosunku do niego. — Przez usta starszej pani przebiegł uśmiech. — Ale pewnego dnia możesz dojść do wniosku, że istnieją sprawy, które nie wyglądają tak, jak je widziałas; że zaistniały być może określone okoliczności...

— Nie sądzę, aby jakiegokolwiek okoliczności mogły usprawiedliwić zniszczenie małżeństwa moich rodziców i spowodowanie ataku serca mojego ojca — z uporem stwierdziła Tansy. — Ale doceniam pani lojalność wobec dziadka, Lauro. Tak jak, mam nadzieję, pani docenia moją wobec matki. I ojca. Dobranoc, Lauro.

— Panno Forester!

Wychodząca na zewnątrz Tansy obejrzała się na głos Marka Harmona. Nie zauważony przez żadną z kobiet wszedł do holu. Teraz stał w progu patrząc Tansy prosto w oczy. W jego spojrzeniu nie było przyjaźni.

— Tak? — odezwała się zimno Tansy. Nie zamierzała pozwolić temu mężczyźnie na zbyt wiele.

— Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno — przemówił z goryczą, nie bacząc na pełne dezaprobaty spojrzenie matki. — Nie pozwolę pani na zniszczenie życiowego dorobku wszystkich pracowników firmy. Nie sprzeda nas pani ludziom pokroju Paula Tregartha.

— Czyżby? — Tansy spojrzała na niego wyzywająco. — A jak pan zamierza mnie powstrzymać, panie Harmon?

— Nie wiem — przyznał chmurnie. — Ale powstrzymam panią, tak czy inaczej. Nie przekształć pani schedy po dziadku w pole golfowe dla Tregartha...

— Dlaczego nie posłuchamy, co sam Tregarth ma do powiedzenia na temat firmy? — zaproponowała ugodowo.

— Dokładnie wiem, co on ma do powiedzenia! — wykrzyknął Harmon. — I nie zamierzam dopuścić do zrealizowania tego.

Tansy momentalnie oburzyła się, że podniósł na nią głos. Cóż on mógł zrobić, by ją powstrzymać? W zasadzie nic. A jednak na tej wyspie, wśród ludzi traktujących ją prawdopodobnie jako zdrajczynię i zagrożenie dla ich stabilizacji, zdała sobie nagle sprawę z chwiejności swej pozycji. Słowa Marka Harmona i chłód w jego oczach nie pozostawiły wątpliwości, że zrobi on wszystko, co w jego mocy, by przeszkodzić zamiarowi sprzedania Whitton Lodge Nurseries w ręce Paula Tregartha.

Rozdział 2.

Tansy spędziła bezsenną noc w obcym łóżku. Przyzwyczajona do hałasu ruchu miejskiego stwierdziła, że denerwuje ją panująca wokół cisza i wstała bardzo wcześnie następnego ranka. Zjadła śniadanie i przygotowała się na wszystko, co może przynieść ten dzień. Skrzypnięcie skrzynki na listy sprawiło, że pobiegła na korytarz, chociaż, tak jak przypuszczała, poczta zawierała głównie pisma dotyczące firmy i okólniki. A jednak usta jej rozjaśnił uśmiech, gdy rozpoznała pismo matki na jednej z kopert. Kładąc resztę poczty na stole w holu, wróciła do pokoju gościnnego, otwierając niecierpliwie list od matki.

— Dostałam twój list dziś rano — przeczytała — i poczułam, że muszę natychmiast odpisać. Wołałabym, ażebyś nie zdecydowała się jednak jechać na Calanarę, Tansy. Ale skoro już to zrobiłaś, sądzę, że zanim zostanie ci przekazana zniekształcona wersja tego, co stało się wiele lat temu, muszę uczynić to, co powinnam była zrobić już dawno i powiedzieć ci prawdę...

Palce Tansy trzęsły się, gdy czytała list od matki. Wreszcie miała uzyskać odpowiedzi na pytania, które coraz bardziej dręczyły ją od chwili przybycia na wyspę. Nagle przestraszył ją dźwięk dzwonka do drzwi. Gdy rozległ się ponownie, bardziej nagłaco, odłożyła list do kieszeni z westchnieniem niezadowolenia i pospieszyła z powrotem do holu. Siłą przywołała na twarz wyraz grzeczności, gdy zobaczyła na progu Marka Harmona i przypomniała sobie ich wczorajszą sprzeczkę. Jego powitanie również nie przekraczało granic obowiązkowej ogłady.

— Pomyślałem, że zechciałyby pani obejrzeć szkółki dziś rano — powiedział zimno. — Szkoda by było nawet nie zobaczyć ich przed przekazaniem Tregarthowi.

Tansy zacisnęła usta. Widocznie chciał zrobić wszystko, by do końca upierać się przy swoim. Przynajmniej wiedziała teraz, na czym stoi.

— Z ochotą przyjrzę się szkółkom — przyjęła jego ton. — Przy okazji, tu leżą okólniki i inna korespondencja.

Podawała mu pocztę.

— Nie wejdzie pan do środka? — dodała z wystudiowaną grzecznością.

— Wolałabym, abyśmy już poszli, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu — poruszył się niecierpliwie. — Oczekuję ważnego telefonu u siebie w biurze. Przypuszczam, że jest już pani po śniadaniu.

Tansy zawahała się, nadal rozmyślając o liście od matki. Bardzo chciała go przeczytać do końca, ale nie w obecności Marka, który badał ją wzrokiem przepojonym dezaprobatą. Cokolwiek kryło się za nieporozumieniami pomiędzy jej matką a dziadkiem, było to coś, co chciała przeanalizować w samotności. Zanościło się jednak na to, że będzie musiała z tym poczekać.

Mężczyzna niecierpliwie bębnił palcami we framugę drzwi i nie pozostawało jej nic innego, jak zabrać swoje rzeczy z kredensu i pójść za nim. W czasie krótkiej jazdy z Lodge do szkółek panowała między nimi całkowita cisza. Nad ich głowami przez szybę w dachu świeciło słońce. Przed nimi roztaczał się widok na budynki szkółek, za którymi wyraźnie rysowały się sylwetki wzgórz, gdy poranna mgła nieco już opadła. Tansy była zażenowana i niepewna tego, jakie przyjęcie czeka ją ze strony pracowników. Jej zdaniem zainteresowanie się warunkami, w jakich pracują, stanowiło wystarczający dowód troski. A jednak obawiała się spotkania z nimi, zwłaszcza gdy wyobrażała sobie, jakie wieści mógł rozsiewać o niej Mark Harmon. Nie łudziła się co do ich zdania na swój temat: nieznajoma z miasta, zainteresowana jedynie tym, jaki dochód przyniesie jej sprzedaż firmy i nie troszcząca się zbyt o pochodzenie uzyskanych pieniędzy.

Ta myśl poirytowała ją. Dlaczego ci ludzie nie spojrzą na wszystko z jej punktu widzenia? Robiła karierę i odnosiła sukcesy w wysoce konkurencyjnej dziedzinie, a ze względu na nagłe zadziałanie Bena Whittona zza grobu, oczekiwano, że porzuci wszystko i zagrzebie się na tej małej, choć uroczej wysepce.

Gdyby świat był taki prosty! Jak miała sprawić, by zrozumieli, co myślała o dziedziczeniu czegokolwiek po dziadku, bez wzbudzenia ich zapiekłego gniewu? Było jasne, że Benson Whitton uchodził tu za szanowaną figurę. Znali go widocznie z innej strony, tej jakiej nie ukazał swemu zięciowi ani córce, gdy ta nie posłuchała jego woli. Ona знаła jego drugie oblicze, a oni powinni jakoś to zaakceptować. Wiedziała, że wizyta będzie dla niej krępująca, ale mogła sobie z tym poradzić. Szkoda tylko, iż nie miała więcej czasu na przygotowania. Zdała sobie sprawę ze spoczywającego na niej spojrzenia Marka Harmona, gdy samochód zatrzymał się przed główną szklarnią.

— Gotowa? — mruknął.

Nie było to niewinne pytanie i Tansy dobrze wiedziała, co się pod nim kryje.

— Jestem gotowa — powiedziała i w duchu pomyślała: „Na wszystko, co tylko jesteście w stanie mi przeciwstawić...”

Gdy tylko weszli do szklarni, zobaczyli ludzi zaabsorbowanych pracą. Tansy rozglądała się wokół z coraz większym zainteresowaniem, w miarę jak wchodzili głębiej. Rośliny i sadzonki leżały na ladach po obu stronach. Wszystko jarzyło się kolorami.

— To jest Joe Traynor, nasz szef szklarni. — Mark zatrzymał się obok starszego mężczyzny w białym uniformie, który natychmiast opuścił swe stanowisko i podszedł do nich z ręką wyciągniętą w kierunku Tansy i twarzą rozjaśnioną uśmiechem.

— Witamy panią, panno Forester.

— Witaj, Joe — przywitała się niepewnie, lecz ciepło, ujmując jego dłoni.

Cofając się w kierunku lady, sięgnął po biały pęk i podał go jej.

— Przygotowałem to w nadziei na pani przybycie — oznajmił. — Każdego ranka ścinałem jeden do butonierki dla pani dziadka i przypuszczam, że pozwoli mi pani na kontynuowanie tego zwyczaju.

— Dziękuję. — Tansy zareagowała ciepło, poruszona nieoczekiwanym gestem staruszka. — Jest piękny.

— Nie będziemy ci już przeszkadzać, Joe. — Skłoniwszy się, Mark poprowadził Tansy dalej. Miała zamysłony wyraz twarzy. Przygotowała się na niechęć pracowników, a nawet ich agresywność i bardzo ją zaskoczyło miłe przyjęcie.

— On zawsze umiał postępować z kobietami — powiedział Mark sucho, gdy znaleźli się nieco dalej.

— Czy od dawna pracuje w szklarni? — spytała Tansy.

— Przybył tutaj jako pierwszy — odpowiedział.

— Aż tak dawno? — wyrwało się Tansy.

— Och, tak. — Spojrzał na nią z wyrzutem. — Czy sądziła pani, że ekipa pracowników będzie składała się z samych wysoce wyszkolonych absolwentów akademii rolniczych? Mamy tu jednego czy dwóch na kursach, ale trzon stanowią ludzie wyszkoleni przed laty na miejscu. Ci, którzy wykazywali wybitne zdolności, byli wysyłani na kursy na koszt firmy. Studiowali na miejscu lub w mieście. Na przykład Heather. Oczywiście, ona jest członkiem rodziny. Ale poza tym jest bardzo utalentowana. Wygląda na to, że odziedziczyła żyłkę do roślin po Whittonach.

— W przeciwieństwie do mnie? — Nie mogła powstrzymać się Tansy.

— To nie miała być tego rodzaju uwaga — zaprzeczył. — Wykazała pani zainteresowanie pracownikami; przepraszam, jeśli panią uraziłem.

Tansy nie mogła się ponownie oprzeć myśli, że Harmon nie żałował faktu pozostawienia firmy przez dziadka właśnie jej, a nie Heather. Zastanawiała się, co staruszek chciał osiągnąć, czyniąc właśnie tak. Z pewnością nie chodziło o poróżnienie jej z matką za to, co zrobiła w przeszłości. Czy mógł być aż tak wyrafinowany? A może był to ukłon z jego strony, gest pojednania. Tansy westchnęła. Obraz tyрана, który skupiał swój gniew na każdym oponentie, zaczynał powoli mieszać się z wizją człowieka oddanego swym podwładnym i odpłacającego lojalnością za lojalność. Kim był prawdziwy Benson Whitton? Czyżby zmienił się z wiekiem, nauczony, że jeśli będzie traktował ludzi źle, to ci go opuszczą? Czy też ocena jej matki, wzmacniana lojalnością wobec męża, zaostrzyła się z latami, czyniąc zeń potwora w oczach wnuczki? Powtórnie pożałowała, że nie mogła przeczytać listu od matki, zanim zjawił się Mark Harmon.

— To jest Tom Barnes, nasz praktykant i Carl Wharten, jeden ze studentów, o których mówiłem.

Wróciła myślami do rzeczywistości. Mark Harmon przedstawił jej dwóch młodzieńców w odległym krańcu szklarni. Nieśmiało odpowiedzieli na jej skinienie głowy. W końcu Tansy i Mark opuścili zimną szklarnię i wrócili na ciepłe, poranne słońce. Tansy nie potrafiła powstrzymać westchnienia ulgi. Jak do tej pory nie szło najgorzej. Nie pozostawało już chyba zbyt wielu ludzi do poznania, a...

— Mark!

Na dźwięk tego głosu oboje odwrócili się, by dostrzec Heather Parker wychodzącą z małego domku, służącego niewątpliwie za biuro.

— Telefon, na który czekałem. To musi być to — oznajmił Mark.

— Tak. Są na linii — potwierdziła Heather. Gdy podeszła bliżej, skinęła głową w kierunku Tansy, po czym znów zwróciła się do Marka: — Powiedziałam, żeby poczekali — dodała.

— Dobrze? — Spojrzał pytająco na Tansy. — Jeśli mogę panią na chwilę przeprosić...

— Proszę się nie krępować — odparła szybko. — Nie chciałabym w niczym przeszkadzać.

Pobiegł do budyneczku i moment później usłyszała dobiegający stamtąd głos Marka. Pozostawiona samotnie z Heather, zdała sobie nagle sprawę z napiętej atmosfery. Dziewczyna unikała jej wzroku, niewątpliwie skępowana, ale równocześnie nie próbowała się oddalić,

by nie wyglądało to niegrzecznie. To wszystko jedynie potwierdzało przecucia Tansy z poprzedniego wieczora. Widać było, że Heather nie cieszy się z jej obecności na wyspie. Żywiła dla niej pewną sympatię, zgadując, że Heather widzi w niej zagrożenie dla związku z Markiem Harmonem, powiększone jeszcze o obawy dotyczące firmy. Cisza przedłużała się, zwiększając zażenowanie obu stron, więc Tansy postanowiła przerwać ją jakąś uwagą.

— Wszystko tutaj wydaje się funkcjonować jak należy — oznajmiła w końcu niezbyt odkrywco.

— Tak — odpowiedź Heather była nieco wymuszona. — Mark jest dobrym szefem. Wuj ufał mu absolutnie.

Tansy zastanawiała się czy to, że nazywała Bensona Whittona wujem, było efektem przypadku, czy celową próbą zaznaczenia obcości Tansy. Wygrana z Heather nie będzie łatwa, wzięwszy pod uwagę podwójny powód jej niechęci do nowo przybyłej. Przyglądała się teraz Heather podejrzliwie, zastanawiając się, jak ta zareaguje na pytanie dotyczące wuja.

— Które z twoich rodziców było spokrewnione z moim dziadkiem? Ojciec czy matka? — spytała.

— Matka — odpowiedziała Heather. — Mieszkamy po drugiej stronie wyspy.

— Może będę miała okazję poznać ich oboje, zanim wyjadę — zamruczała Tansy. Z ulgą dostrzegła, że Mark Harmon wychodzi z biura. Na jego twarzy gościł uśmiech adresowany do obu pań.

— Wygląda na to, że dobiliśmy targu z supermarketem na lądzie w sprawie dostaw naszych produktów — oznajmił.

— A więc dokonałeś tego, Mark! — z widocznym zadowoleniem powiedziała Heather.

— Na razie to tylko umowa słowna, ale wkrótce dostaniemy potwierdzenie i kontrakt — odparł.

— To świetne wiadomości — włączyła się do rozmowy Tansy. — Gratuluję!

— Dzięki. — W świetle dobrych wieści zrobił się dla niej nieco miłszy, lecz w oczach nadal miał tę samą nieufność. Mówiły one: „Radość może być krótka, jeśli Tregarth przejmie firmę...” Spojrzał na Heather.

— Chciałbym kontynuować pokazywanie pannie Forester reszty posiadłości, jeśli możesz przejąć tu dowodzenie.

— Jasne — odparła szybko Heather, ale Tansy znów zauważyła nutkę niechęci w jej głosie.

— Jeśli jest aż tyle pracy... — zaczęła, lecz Mark Harmon przerwał jej stanowczo:

— Heather doskonale sobie ze wszystkim radzi. Nie możemy pozwolić, aby wróciła pani do miasta, nie znając pełnych możliwości firmy. Poza tym chciałem pokazać pani coś specjalnego. — Mówiąc to prowadził ją żwirową alejką kierującą się na otwarty teren. Gdy wyszli poza zasłonę budynków, powiał lekki wietrzyk i Tansy otuliła się mocniej. W miarę jak szli coraz dalej, jej zdziwienie rosło. Czym było to coś specjalnego, co tak bardzo pragnął jej pokazać? — zastanawiała się. Wzgórza tonęły w niebieskiej mgiele, a jednak nie widzieli z tej odległości morza. Nozdrza Tansy łowiły w powietrzu jedynie jego zapach. Z jednej strony rozciągał się kobierzec łąk, a z drugiej odległe budowle z wieżycą kościoła znaczyły miejsce położenia głównego miasta na wyspie. Spiesząc się, by dotrzymać kroku mężczyźnie, Tansy patrzyła na niego pytająco.

— Dokąd idziemy?

W odpowiedzi skrzył w prawo i skierował się ku bramie. Idąc za nim Tansy spostrzegła, że zbliżają się do małej łączki.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział miękko. — Oto prawdziwy powód, dla którego Paul Tregarth chce zagarnąć Whitton Lodge Nurseries. — W jego głosie duma mieszała się z satysfakcją.

Tansy wpatrzyła się w obraz przed sobą. Na pierwszy rzut oka ta prześliczna łąka nie wyróżniała się niczym szczególnym. Potem dziewczyna stopniowo zdała sobie sprawę z rozkołysanej masy kolorów, ciągnącej się jak okiem sięgnąć. Promienie słoneczne odbijały się od roślin wszelkiego kształtu i barwy, wśród których górowały białosrebrzyste płatki Łez Merlina. Wyglądało to jak poruszająca się mozaika.

— Łąka dzikich kwiatów — przemówił cicho Mark pochwywszy jej pytające spojrzenie. — Pani dziadek zasiał tę łąkę wszystkimi dzikimi kwiatami, jakie tylko mógł zdobyć. Jest to jedno z niewielu już pozostałych skupisk, gdzie można znaleźć tyle gatunków rosnących razem.

Tansy przez chwilę milczała. ; — To piękne — powiedziała w końcu.

— Prawda? — szepnęła. — Pani dziadek był konserwatystą, jak wielu z nas na Calanarze. — Spojrzał na nią. — Czy chciałaby pani usłyszeć, ile Tregarth proponował mu za tę łąkę?

Tansy milczała.

— Mnóstwo pieniędzy — powiedział cicho, gdy stało się jasne, że nie zamierza zapytać. — I to wcale nie z sympatii dla konserwatystów, zapewniam panią. Jak pani widzi, ta łąka przylega do terenów Tregartha. Posiadanie jej jest dla niego koniecznością, jeśli chce rozwinąć swój kurs golfowy. Ale pani dziadek odrzucił jego propozycję bez wahania.

Tansy nie mogła uporządkować myśli w świetle tych rewelacji. Pytania na temat dziadka, które napływały jej do głowy od czasu przybycia na wyspę, stawały się coraz silniejsze, stając się pytaniami wymagającymi odpowiedzi. Czy człowiek, który bardziej cenił dzikie kwiaty od dużych sum pieniędzy, był w stanie zniszczyć życie swojej córki? Czy jego natura była tak skomplikowana, że przeżycie tych dzikich kwiatów znaczyło dla niego więcej niż przetrwanie małżeństwa jedyne dziecko?

Mark Harmon przyglądał jej się teraz, świadom toczącej się walki sprzecznych odczuć i czekał na jakąś odpowiedź. A odpowiedź mogła być tylko jedna. Musiałaby być całkowicie pozbawiona normalnych ludzkich uczuć, by nie powiedzieć tego, co chciał usłyszeć. I wówczas zdała sobie sprawę, dlaczego ją tu przyprowadził.

— Nie pozwolę, aby Paul Tregarth zniszczył tę łąkę — zapewniła go. — Obiecuję to panu.

Zaśmiał się cynicznie, więc spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie wierzy mi pan? — spytała.

— Och, tak. Wierzę pani — odparł trzeźwo. — Lecz jeśli pani wierzy, że Tregarth zostawi to miejsce nienaruszone, gdy pani mu je sprzeda, to jest pani naiwna.

Tansy zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Załączę klauzulę do umowy — upierała się.

— To nic nie pomoże — zapewnił niecierpliwie. — Nie w przypadku Tregartha! On nie jest normalnym, uczciwym biznesmenem, proszę mi wierzyć.

— Czy przypadkiem nie ocenia go pan zbyt ostro? — spytała Tansy. — Czy prowadził pan z nim jakieś interesy, na podstawie których można by wydać taką opinię? A może po prostu nie chce pan, żeby firma przeszła w inne ręce, gdyż uniemożliwiłoby to panu kontrolowanie wszystkiego tak, jak działo się do tej pory...

— Nie będzie wówczas czego kontrolować. Niech tylko Tregarth położy na tym ręce — przerwał jej dziko. — Czy nie jest pani w stanie tego pojąć? Nieważne... — Poruszył się niespokojnie. — W przeciwieństwie do tego, co może się pani wydawać, nie

przyprawdziłem tu pani, by wywołać kłótnię. Chciałem tylko pokazać pani dziedzictwo... i to, co pani zniszczy, gdy przekaże to pani Tregarthowi.

Odwróciwszy się ruszył w kierunku szklarni i po chwili Tansy podążyła za nim. Pomyślała, że to, iż przyprowadził ją tutaj i pokazał tę łąkę, nie było fair. A jednak nie mogła go winić za korzystanie z wszelkich sposobności odwiedzenia jej od sprzedaży. Cisza, która zapadła, dała jej okazję do przemyśleń. Było oczywiste, że nie może pozwolić Paulowi Tregarthowi na to, by spustoszył łąkę. Mimo sceptycyzmu Marka Harmona była pewna, że uda jej się uzyskać jakiś kompromis z Tregarthem. Musiała to zrobić! Ale obecnie nie było to jej jedynym zmartwieniem. Wszystko to, co usłyszała o dziadku od momentu przybycia na wyspę, skumulowane na skutek wiadomości, że chciał ocalić łąkę dzikich kwiatów, zburzyło obraz starca, który utrwalił się w jej głowie. Fakty nie pasowały.

Zbliżali się teraz do land-rovera i Tansy mimo wszystko odczuwała ulgę, że jej obchód dobiegł końca. Mark Harmon, czekający na to, żeby zajęła miejsce w samochodzie, miał zatroskany wyraz twarzy. Trwało między nimi napięcie równie wielkie jak uprzedni otwarty antagonizm. Ale z tym mogła sobie poradzić. Zastanawiała się, czy łąka była jego ostatnim atutem. A jeśli tak, to skoro wiedział, jaki osiągnął efekt, czy nie wykorzysta go teraz, by postawić na swoim? Widząc jego kwaśną minę, wątpiła w to. Gdy wyjechali poza teren szklarni i skierowali się w stronę przeciwną do Whitton Lodge, Tansy zrobiła zdziwioną minę.

— Nie wracamy? Pokręcił głową.

— Myślałem, że skoro już jestem pani przewodnikiem, to pokażę pani wyspę — powiedział. — Mamy śliczny dzień na przejażdżkę, nie sądzi pani? — Spojrzał na nią pytająco, a ona tylko wzruszyła ramionami.

— Nie chciałabym zajmować pańskiego czasu — powiedziała w końcu. — Wspominał pan, że macie teraz ważne sprawy do załatwienia dla firmy.

— Przysługuje mi przerwa — odparł. — A co może być ważniejsze od dbania o szefa?

Pomimo tej uwagi jego głos pozbawiony był nutki sarkazmu. Czują, że obecnie ma on więcej nadziei na odniesienie sukcesu w dążeniu do utrzymania firmy. Była nawet zadowolona z takiego obrotu spraw. Złe stosunki z pracownikami dziadka nie stanowiły szczytu jej marzeń. Patrząc przez okno zauważyła, że znów kierują się ku wybrzeżu. Wzgórza w oddali stawały się coraz wyraźniej widoczne. Jechali w górę,

a łąki ustępowały miejsca lasowi. Promienie słoneczne prześwietlały korony drzew, a poprzez szum silnika land-rovera można było dosłyszeć śpiew ptaków. Obserwowała pnącą się między drzewami drogę. Daleko w dole lśniło morze, odbijając promienie słoneczne jak srebrna płachta. Stok porośnięty był dzikimi kwiatami. Dominowały wśród nich Łzy Merlina. Wstrzymała oddech, zdając sobie sprawę, dokąd ją wiezie. Zauważywszy to skinął głową.

— A więc zgadła pani — powiedział. — Proszę spojrzeć! — Wychylając głowę przez okno po stronie Tansy, wskazał w górę. — Widzi pani ten otwór w zboczu?

Patrząc za jego wskazującym palcem, Tansy przekrzywiła głowę do góry. Przez parę chwil rozglądała się wokół, a potem dostrzegła miejsce, które wskazywał; zdawało się wejściem do jaskini, umiejscowionym o kilka jardów pod skrajem opadającego ku morzu zbocza. Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco. Skinął głową.

— Jaskinia Merlina — stwierdził. Odwróciwszy się Tansy ponownie spojrzała w górę, przypominając sobie zasłyszaną poprzedniego wieczora historię. Nawet nie przypuszczała, że w czasie swego krótkiego pobytu odwiedzi to miejsce. Wokół panowała spokojna atmosfera, jeszcze bardziej odczuwalna, gdy wysiedli z samochodu. Tansy nie mogła się nadziwić, jak bardzo zafascynowała ją ta wyspa w tak krótkim czasie. Czemu, na przykład, obecnie brała na serio opowiedzianą jej legendę o nie istniejącym starym czarowniku? W mieście wysłuchałaby jej z pobłażliwym zainteresowaniem, a potem szybko wyrzuciła z pamięci. Tutaj wszystko wydawało się tak realne... Rozejrzawszy się wokół, dostrzegła, że grunt pokryty był białosrebrnymi kwiatami Łez Merlina, połyskującymi w słońcu jak klejnoty u wejścia do jaskini.

— A więc to właśnie jest owo sławne miejsce. — Popatrzyła w zamyśleniu na wejście. — A czy w historii nie było mowy o kamieniu blokującym grotę?

— To tylko legenda, a szczegóły zatarły się z czasem — szepnął Mark.

— To smutna opowiadka — mimowolnie wyrwało się Tansy.

— Ale nie pozbawiona morału — odparł. Spojrzała na nią przelotnie.

— Stary głupiec, jaki z niego głupiec! — zasugerował, gdy zerknęła na niego pytająco. — Ale głupcy niekoniecznie muszą być starzy — dodał cicho. — Wielu młodych zostało wystrychniętych na dudka przez kobiety.

Tansy wolała zignorować ten komentarz. Od momentu przybycia na wyspę ustawiła się w roli pozbawionej serca karierowiczki, której nic nie obchodzi los pracowników Whitton Lodge Nurseries. To właśnie był motyw, dla którego oprowadził ją wszędzie, czuła to.

Chciał, aby ludzie, których traktowała wyłącznie przedmiotowo, stali się realni. Wówczas skruszył po raz pierwszy jej surowość, a teraz przywiódł ją do tego pięknego zakątka, przypuszczając, że przywołanie legendy wywoła skojarzenia, których nie mógł przeforsować męską logiką.

— Jest pani bardzo podobna do dziadka; wiedziała pani o tym? — spytał nagle, przyglądając się jej.

Tansy westchnęła.

— Pańska matka mówiła to samo — przypomniała mu. — Osobiście nie sędzę, aby to był komplement, chociaż pan zapewne tak uważa.

— Dlaczego pani aż tak go nienawidzi? — spytał gwałtownie.

— Nienawidzi? — powtórzyła. — Jakże mogłabym go nienawidzić? Nigdy go nie spotkałam, jak pan niejednokrotnie zauważał, przy każdej okazji.

— Czy nigdy nie pomyślała pani, że mogą również istnieć racje drugiej strony? — naciskał.

— Nigdy nie byłam zainteresowana wysłuchaniem tych racji — przyznała Tansy uczciwie. — Może to był mój błąd, ale trzymałam stronę rodziców. A pan zna szczegóły? — Spojrzała na niego wyzywająco.

— Tylko zasadnicze — przyznał. — Pani matka wyszła za mąż wbrew jego woli.

— To chyba coś więcej — powiedziała Tansy. — Odmówił jej pomocy w kłopotach finansowych, chociaż z pewnością miał na to środki.

— Wyznawał pogląd, że młodzi ludzie powinni sami stawać na nogi — odparł.

— Nie ze wszystkiego można wybrnąć samemu — upierała się Tansy. Ta uwaga zabrzmiała jak krytyka jej ojca. — W każdym razie mój ojciec miał w rezultacie atak serca i zmarł.

Mark Harmon spojrzał na nią w zamyśleniu.

— Przykro mi z tego powodu — powiedział w końcu. — Ale Benson nie mógł przewidzieć, co się stanie. A pomimo tego, co pani mówi, wiem, że za całą sprawą kryło się coś więcej. Był twardym człowiekiem,

ale nie patrzyłby obojętnie na kłopoty pani ojca, gdyby nie miał poważnego powodu. Znałem go wystarczająco dobrze, by tak twierdzić.

Tansy poczuła nagłą chęć powtórnego przeczytania listu. W nim tkwił klucz do całej prawdy. A jednak oparła się impulsowi. Stojący obok niej mężczyzna był zbyt obcy, zbyt stronniczy na korzyść dziadka, by powierzyć mu informacje zawarte w liście. Ale czy nie obciążała go przypadkiem własnymi winami? Jeśli on zbyt bronił dziadka, to ona z kolei już dawno temu uznała się za adwokata rodziców, i nawet nie próbowała rozpatrywać niekorzystnych dla nich rozwiązań.

— Być może się myślę, ale... — zawahał się. — No cóż, odkąd pani przybyła tutaj, próbuje dowiedzieć się prawdy o tym, co nastąpiło, zamiast uparcie trzymać się wersji, w której pani wyrosła. Sądzę, że tego właśnie pragnął pani dziadek. Myślę, że był to główny powód pozostawienia pani firmy.

Jego głos przybrał refleksyjną nutę:

— Prawdę powiedziawszy, im bardziej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Benson wiedział, iż w momencie pani pojawienia się na wyspie, będzie pani chciała sama dowiedzieć się prawdy. Może właśnie na tym najbardziej mu zależało; pragnął zostać zrehabilitowanym w pani oczach.

— Skąd mógł wiedzieć, że w ogóle pojawię się na wyspie? — zaoponowała Tansy.

— Nie mam pojęcia — przyznał otwarcie. — Ale zjawiała się pani tak czy inaczej, prawda?

— Wyłącznie w celu sprzedaży — przypomniała mu Tansy. — Co do tego nie zmieniłam zdania.

Jednak w jej głosie nie było pewności. Gdy ujrzała łąkę z dzikimi kwiatami, zachwiała się nieco w swoim postanowieniu, ale nadal miała pewność, że przekona Paula Tregartha, by zachował to miejsce jako rezerwat. Spojrzała uważnie na Marka Harmona. Coraz bardziej nieznośne stawało się dla niej pragnienie odczytania listu matki i nie chciała dalej prowadzić rozmowy w ten sposób. Mimo wzajemnych antagonizmów uważała Marka Harmona za człowieka o uczciwych zamiarach, lojalnego wobec ludzi, którym był winien tę lojalność. To, że znajdowali się po przeciwnych stronach barykady w tej sprawie, nie wpłynęło na jej opinię. Pracował w interesie Bensona Whittona, a ona była członkiem jego rodziny, bez względu na to, co zaszło. Szczerłość winna była samej sobie i Markowi Harmonowi.

— Tego ranka, gdy zjawił się pan u mnie, właśnie zamierzałam przeczytać list od mojej matki, który nadszedł poranną pocztą — powiedziała w końcu. — Napisałam do niej, że wybieram się na Calanarę, a ona natychmiast odpisała. Pisze, że powinnam znać prawdę na temat tego, co się stało. Planowałam dokończyć czytanie listu później, ale...

Wyjęła kopertę z kieszeni i otworzyła ją. Mark Harmon przyglądał się uważnie.

— Jeśli wołałaby pani raczej, abym pozostawił ją w samotności... — wyszeptał.

— Nie — odpowiedziała Tansy stanowczo. — Ta sprawa dotyczy w pewnym sensie nas obojga. — Rozłożyła list. — Będę czytała na głos. Matka zaczyna od tego, że nie pochwała mojej wizyty na wyspie, a potem... — przełknęła ślinę.

Zaczną od początku, Tansy, a kiedy skończę, sama ocenisz, jak postępowały poszczególne osoby. Jak wiesz, twój ojciec był artystą spędzającym lato na Calanarze i pomagającym przy pracy w szklarniach dla podreperowania swych finansów. Nie było mnie wtedy tutaj i dopiero po powrocie, pod koniec lata, poznałam twego ojca. Zakochaliśmy się w sobie, Tansy, choć wiedziałam, że on spotykał się przedtem z inną dziewczyną — pracownicą szklarni. Ale to się skończyło, kiedy my zaczęliśmy się spotykać. Byliśmy ze sobą bardzo blisko i wiedziałam, że on jest właśnie człowiekiem, z którym pragnę spędzić życie, a on czuł do mnie to samo. Mój ojciec był zdecydowanie przeciwny małżeństwu. Radził poczekać. Ale miałam już dwadzieścia jeden lat i nie potrzebowałam jego pozwolenia. Gdy usłyszał o tym, że zamierzamy się pobrać, zrobił wszystko, by temu przeszkodzić. Początkowo nie rozumiałam dlaczego; dopiero później dowiedziałam się, że dziewczyna, z którą chodził przedtem twój ojciec, jest z nim w ciąży...

Tansy ściszyła głos. Była w szoku i nie potrafiła tego ukryć.

... Twój ojciec powiedział mi, że nie zdawał sobie sprawy z jej brzemienności. Wierzyłam w to i wierzę nadal. Ale mój ojciec wątpił. Miał silne poczucie obowiązku i był rozsierzony, dowiedziawszy się o moich planach małżeńskich. Sądził, że twój ojciec powinien poślubić tę drugą dziewczynę i uznać jej dziecko. Nie mogłam go stracić,

Tansy. Kochałam go i gotowa byłam wspierać w każdej sytuacji. Pragnęłam go za wszelką cenę i on mnie też. Poza tym nic nie miało dla mnie znaczenia. Nie porzuciliśmy więc naszych planów małżeńskich. Mój ojciec, a twój dziadek, zajął się wszystkim. Wysłał dziewczynę

gdzieś na ubocze, żeby mogła tam urodzić i tak dalej. Musisz pamiętać, że wtedy panowały zupełnie inne zwyczaje. Posiadanie nieślubnego dziecka było dla dziewczyny czymś strasznym, zwłaszcza na tak małej wyspie, jak nasza. Koniec końców dziewczyna uciekła po urodzeniu dziecka, porzuciła je. Później dowiedzieliśmy się, że wyszła za męża i zamieszkała gdzieś za granicą. Twój dziadek zaaranżował, jak rozumiem, adopcję dziecka przez jakąś rodzinę na wyspie. Możesz się zastanawiać, dlaczego twój ojciec i ja nie chcieliśmy wziąć tego dziecka na wychowanie. Ale ono zostało już wzięte przez kogoś innego, zaadoptowane, a my mieliśmy ciebie. To nie byłoby w porządku. Szczerze mówiąc nie chciałam dziecka innej kobiety, by przypominało mi o tamtym związku. Wiedziałam, że mój ojciec zrobi dla dziecka wszystko, co możliwe. Wydawało się, że będzie lepiej, gdy zostawimy sprawę w jego rękach.

Tansy podniosła głowę znad kartki, ledwie to wszystko pojmując.

Potem znów spojrzała na list i przerzuciła ostatnich kilka stron.

... Teraz więc znasz prawdę i możesz ocenić nas wszystkich obiektywnie. Mój ojciec osądził mnie; stanął na uboczu i nawet nie ruszył palcem, by pomóc twojemu ojcu w wydobywaniu jego galerii sztuki z problemów finansowych. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że spowodowane tym wszystkim napięcie wywoła fatalny atak serca u twojego ojca, ale nigdy nie potrafiłam mu tego wybaczyć i czyniłam go bezpośrednio odpowiedzialnym za to. Utwierdziłam się w swym przekonaniu. Dlatego właśnie nie pozwoliłam ci nigdy na spotkanie z nim. Zrujnował moje życie i obawiałam się, że podobnie może zrujnować twoje. Próbował mnie zmusić, abym przywiozła cię na wyspę, gdy byłaś bardzo mała, a teraz udało mu się wreszcie tego dokonać po śmierci. Sprawił, że przybyłaś na Calanarę. A gdy już się tam znalazłaś, Tansy, obawiam się, że czar tego miejsca nie pozwoli ci odjechać.

Odkładając list, Tansy spojrzała w oczy Marka Harmona. Jej własne oczy były szeroko rozwarte z powodu szoku i przerażenia.

— To strasne — powiedziała w końcu. Czegoś takiego nie spodziewała się nigdy przeczytać, jakieś dziecko, opuszczone przez własną matkę i ojca, jej ojca. Jakieś dziecko, prawdopodobnie nadal żyjące gdzieś na tej wyspie. Jej przyrodni brat czy też przyrodnia siostra.

Rozdział 3.

— Jak mogli to zrobić? — Głos Tansy drżał. — To dziecko, tak przez wszystkich odrzucone...

— Niezupełnie przez wszystkich — przerwał Mark Harmon. Słuchał dotychczas w milczeniu tego, co czytała. Teraz spojrzął na nią wyzywająco. — Pani dziadek nie odwrócił się plecami do tego dziecka.

— Zgadza się. — Zdziwienie mieszało się w duszy Tansy z innymi emocjami. — Był jedyną osobą, która stawiała czoło sytuacji. Gdyby nie on, to biedne dziecko... — Jej głos załamał się.

A zatem w końcu, ni stąd ni zowąd, po wszystkich próbach dotarcia do prawdy odkryła ją wreszcie. Była to smutna, przygnębiająca opowieść, która nie stawiała nikogo w zbyt przejrzystej sytuacji. Żywiła mieszane uczucia do rodziców; rozdarta pomiędzy miłością do nich a gniewem za to, co zrobili. Pozostawała jej jedynie bezsilna walka z własnymi myślami. Jak wskazał Mark Harmon, kryło się za tym jeszcze coś więcej. Tak dobrze potrafiła wszystko sobie wyobrazić; tę brzemienną dziewczynę porzuconą przez kochanka, własną matkę trzymającą się desperacko człowieka ukochanego ponad wszystko, nie troszczącą się o świat zewnętrzny, póki tylko on był obok. Jej ojca odwracającego się plecami od odpowiedzialności i pozostawiającego wszystko w rękach dziadka. Znając obecnie jego lojalność i troskę o pracowników, mogła sobie wyobrazić burzę uczuć, jaką wywołała w nim wiadomość o oszukaniu kogoś z jego otoczenia przez przyszłego zięcia. Gniew, jaki musiał czuć, połączony ze świadomością, że jego córka nie zrezygnuje z wybranka, musiał być paraliżujący. A kiedy kilka lat później jej ojciec miał kłopoty finansowe, Benson Whitton potraktował to jako okazję do rewanzu i w swym zgorzknieniu nie zrobił nic, by mu pomóc.

Nawet teraz trudno jej było uwierzyć, że gdzieś na Calanarze mieszka ktoś, kto mimo to, że jest kompletnie obcy, jest również jej bliskim krewnym. Jakże żałowała, że matka nie podała większej ilości szczegółów. Czy tamto dziecko było chłopcem, czy dziewczynką? Odczuwała pewność, iż matka przekazała jej wszystko, co wiedziała, skoro już zdecydowała się na ujawnienie tej historii, ale nie zadowalała jej znikoma ilość szczegółów zawartych w liście. Nie mogła się powstrzymać od myśli, że matka wykazała zbyt mało zainteresowania dzieckiem, którego ojcem był jej mąż, zanim jeszcze ją poślubił. Możliwe, że jedynie dzięki ignorowaniu tych faktów potrafiła sobie

ułożyć z nim życie. A co z nim samym? Jak mógł odwrócić się w ten sposób plecami od własnego dziecka? Jakim był człowiekiem? Pamiętała go jako kochającego ojca, ale przecież wiedział on o istnieniu swego drugiego potomka i w sposób oczywisty ignorował ten fakt. Pomimo to nadal myślała o nim z miłością i nie próbowała go sądzić. Któż mógł wiedzieć, jaki nacisk wywierała na niego matka ze względu na obawę utracenia go. Z perspektywy czasu wszystkie te wydarzenia zdawały się nierealne, ale nie było wątpliwości, że list od matki mówił prawdę. Nic dziwnego, że odwlekała ujawnienie tej prawdy najdłużej, jak to było możliwe! Jedynie strach, że Tansy dowie się jej z drugiej ręki, spowodował, iż opowiedziała teraz wszystko. Jednak Tansy zastanawiała się nad inną wersją, którą mogłaby usłyszeć. Ta była wystarczająco brutalna. Im więcej Tansy rozmyślała o nieznanym dziecku, tym bardziej rosła jej ciekawość.

— Muszę odnaleźć to dziecko, Mark — Spojrzała na niego łagodnie.
— Może pańska matka będzie coś o tym wiedzieć?

— Być może — zgodził się. — Jeśli ktokolwiek coś wie, to niewątpliwie ona. Ale proszę nie liczyć, że powie coś pani, nawet gdyby wiedziała. Tak jak my wszyscy bardzo ceni sobie lojalność. Prawdopodobnie Benson także nie życzyłby sobie tropienia dziecka, dla jego własnego dobra.

— Z pewnością oboje mamy prawo dowiedzieć się o swoim istnieniu?
— zapytała Tansy.

— Jeśli chodzi o mnie, tak—odparł. — Ale inni mogą to widzieć inaczej.

— Dlaczego? Nie chcę zrobić temu dziecku żadnej krzywdy — zaprotestowała Tansy. — Na Boga, ten ktoś to mój brat lub siostra!

— Przyrodni brat lub siostra—poprawił. — I bardzo możliwe, że ktokolwiek to jest, może nie chce dowiedzieć się swego pochodzenia. Jeśli założymy, że jeszcze go nie zna.

— Jest pan pewien, że ten ktoś ujawniłby się, gdyby wiedział? — spytała Tansy.

— A fakt, że tak nie zrobił, też ma swoje znaczenie — wskazał Mark.

— Innymi słowy, on lub ona nie chce, by go odnaleziono — podchwyciła Tansy. — Czy to właśnie chce pan powiedzieć?

— Dokładnie to — potwierdził. — Nie próbuję być pesymistą, ale nie chcę, by przy okazji komuś stała się krzywda; ani pani, ani tej drugiej osobie. — Spojrzał na nią. — Czy myślała pani, że pani motywami mogą

być nieco samolubne? — rzucił wyzywająco. — Że po prostu chce pani odnaleźć brata lub siostrę za wszelką cenę?

— Wiem jedynie, że chcę odnaleźć dziecko — upierała się Tansy. — Każdy normalnie czujący człowiek zrobiłby to samo. — Poruszyła się niespokojnie, chcąc opuścić już to miejsce. W świetle rewelacji z listu marzenia o zwiedzeniu Jaskini Merlina przestały mieć znaczenie. Mogła myśleć jedynie o powrocie do firmy i rozmowie z Laurą Harmon. Przeczuwając jej myśli Mark zawrócił i w ciągu kilku minut byli w miejscu, gdzie zaparkował land-rovera.

Podróż powrotna nie była już dla Tansy tak fascynująca. Wszystkie myśli skupiła na wiadomościach, które wyczytała w liście. Z niecierpliwością obserwowała zbliżające się zabudowania szklarni. Zwiększając szybkość Mark skierował land-rovera w alejkę wiodącą do Gatehouse Cottage.

— Jestem pewien, że umiera pani z ciekawości, by wypytać moją matkę, a i ona będzie zadowolona z powtórnego spotkania — wyszeptał. — Zdaje się, że znalazłyście wspólny język.

Gdy podjechali pod główną bramę, Laura zajmowała się czymś w ogródku. Odkładając narzędzia podeszła do nich z uśmiechem.

— Lauro... — Tansy wysiadła z samochodu, zanim jeszcze Mark zatrzymał go na dobre. — Dowiedziałam się prawdy o sporze pomiędzy moim dziadkiem a rodzicami!

— Och! — Laura spojrzała na nią z ukosa. — Wejdz do środka, zaparzę herbaty!

Wchodząc do wnętrza domu, Tansy szybko podzieliła się ze starszą kobietą wszystkimi detalami, o których dowiedziała się z listu.

— Pomyśl o tym, Lauro! — Oczy Tansy zwięzły się z podniecenia. — Mam przyrodniego brata lub siostrę gdzieś na wyspie. — Zerknęła kątem oka na rozmówczynię i zmarszczyła brwi. Laura wcale nie wyglądała na zaskoczoną i nagle Tansy domyśliła się dlaczego.

— Wiedziałas o tym, prawda? — stwierdziła oskarżające

— Słyszałam, że tamta dziewczyna zaszła w ciążę, lecz nic poza tym. — Laura dotknęła ramienia Tansy uspokajającym gestem. — To wszystko zostało szybko wyciszone. Powiedzenie ci o tym nie byłoby fair wobec dziadka. — Jej oczy potwierdzały wypowiedane słowa. — Wybacz mi, Tansy. Powiadomienie cię o tym należało do twojej matki, nie do mnie.

Tansy westchnęła. Znow ta nieugięta lojalność...

— Rozumiem — powiedziała w końcu.

Mark wszedł do domu za nimi. Teraz patrzył na Tansy ostrzegawczo.

— Nie należy się spieszyć z wyjaśnieniami — poradził. — To może być kij wsadzony w mrowisko.

— Ale to przecież naturalne, że chce poznać losy dziecka — oznajmiła Tansy.

— Oczywiście, że tak — zgodził się. — Mówię jedynie, by zbyt nie spieszyć. To bardzo zamknięta społeczność i ludziom może się nie podobać wtykanie nosa w ich sprawy, najpierw wypytam jedną lub dwie osoby, które znam. Pod żadnym pozorem nie wolno pani chodzić i wypytywać ludzi wokół.

— Nawet mi się to nie śniło! — zaprotestowała Tansy. — Łatwo przecież mogłabym się we wszystkim zorientować przeglądając księgi.

— Nic to pani nie da, dopóki nie pozna pani nazwiska matki — stwierdził Mark. — Proszę to na razie zostawić, dobrze?

Spojrzał na nią pytająco, a Tansy odwzajemniła to spojrzenie. Nie lubili się zbyt, żeby aż tak sobie ufać. Cały czas nie mogła się powstrzymać od uczucia, że mężczyzna próbuje zepchnąć ją na boczne tory. Od początku nie był zbyt entuzjastą poszukiwania jej przyrodniego brata lub siostry.

— Nie wierzy mi pani, czy o to chodzi? — błysnął oczami w jej kierunku. — Zapewniam, że nie mam na myśli nic złego! Byłem przeciwny pani planom odnośnie do firmy, to prawda, ale robiłem to otwarcie; nie ukrywałem swego stanowiska. Nie mam też nic do zyskania ani stracenia przez poszukiwania pani przyrodniego brata lub siostry. Jestem nawet sam ciekaw, kto to. A więc chyba zasługuję na odrobinę zaufania?

Była to prawda i Tansy zdawała sobie z tego sprawę. Czuła, że mężczyzna jest wobec niej uczciwy.

— Dobrze — podjęła decyzję — pozostawiam poszukiwanie panu.

— Cieszę się — obdarzył ją uśmiechem i wówczas Tansy nie po raz pierwszy uprzytomniła sobie, jak atrakcyjnym jest mężczyzną, gdy nie przybiera maski wrogości. Nie chciała mieć w nim wroga. Ani w nim, ani w nikim innym na tej wyspie. Chciała jedynie zakończyć transakcję i wrócić do własnego życia na stałym lądzie.

Mark rozmawiał teraz ze swoją matką, opowiadając jej wieści na temat kontraktu z supermarketem, a Tansy słuchała w ciszy, ponownie odczuwając lekkie skrępowanie na widok ewidentnej radości staruszki z tych wiadomości. Powtórnie zdecydowała się zrobić, co w jej mocy, by przekonać Paula Tregartha do pozostawienia firmy w nienaruszonym

stanie, jeśli ten ją wykupi. Musiał istnieć jakiś sposób, by zapewnić utrzymanie choć części interesu w pierwotnej formie.

— Wróć teraz do szklarni — oznajmił Mark pociągając łyk herbaty podanej przez matkę. — Zobaczmy się później!

Odwróciwszy się opuścił pokój i w parę chwil później rozległ się dźwięk silnika land-rovera odjeżdżającego aleją. Wszedłszy do pokoju gościnnego, obie kobiety zasiadły w ciszy. Tansy zastanawiała się nad wydarzeniami tego ranka. Teraz, gdy pozostawiła na jakiś czas sprawy dotyczące swego rodzeństwa w rękach Marka Harmona, mogła zwrócić myśli w innym kierunku.

— Nie pozwolę Paulowi Tregarthowi zniszczyć tej łąki dzikich kwiatów, Lauro. Uwierz mi! — Zerknęła w kierunku starszej kobiety.

— Wierzę. — Laura dotknęła jej ramienia gestem dodania otuchy. — Wiem, że nie zrobiłabyś niczego przeciw nam; jesteś z Whittonów.

Tansy przypomniała sobie o niewypowiedzianych oczekiwaniach, że zajmie miejsca dziadka na czele Whittons Lodge Nurseries, jakie wyczuwała od momentu przybycia na wyspę. Nie chciała zawieść staruszki, ale nie miała zbyt wielkiego wyboru. Nawet gdyby interesowało ją przejęcie firmy, była pewna, że Mark Harmon nie byłby jej za to wdzięczny. Wyczuwała, iż mimo pragnienia utrzymania firmy przez rodzinę, nie życzył sobie, ażeby odgrywała aktywną rolę w jej prowadzeniu! Miał raczej na myśli pozostawienie mu wolnej ręki, przy zachowaniu prawa własności.

— Dlaczego Mark ma aż tak złe mniemanie o Tregarcie? — spytała pod wpływem impulsu. — Na pewno nie tylko dlatego, że chce on wykupić teren, prawda?

Laura zmarszczyła brwi.

— On nienawidzi metod Tregartha — powiedziała po chwili. — Latami dochodziło tu do aktów wandalizmu. Jak dotychczas nie było to nic wielkiego...

— Wandalizm? — Tansy uważnie spojrzała na rozmówczynię. — Nic mi o tym nie mów! Z pewnością nie myśli, że stoi za tym Tregarth?

— Nie ma na to dowodów — stwierdziła beznamytnie Laura. — Mogły to być dzieciaki z wyspy albo turyści, jak sądzę. Ale Mark zawsze czuł, że kryje się za tym ręka Tregartha.

— Tregarth jest człowiekiem interesu. Nie zniżyłby się do takich metod — zaprotestowała Tansy.

— Biznesmeni potrafią być zupełnie pozbawieni skrupułów, gdy im na czymś zależy — zauważyła Laura. — Nie twierdzą jednak, że zgadzam się z Markiem.

— Jak często się to przydarza? — spytała Tansy.

— Od jakiegoś czasu nie było problemów. Prawdę powiedziawszy od czasu, gdy zachorował twój dziadek — powiedziała Laura. — Przypuszczam, że Tregarth zrezygnował z tego rodzaju metod, gdy wiedział już, że wystarczy poczekać na śmierć Bensona; to znaczy jeśli to w ogóle była jego sprawka — kontynuowała w zamyśleniu. — Musiał jedynie czekać, by sprawdzić, czy dziedzic tego miejsca będzie bardziej podatny na jego ofertę niż Benson.

Jeśli była to prawda, pomyślała Tansy, to ona niezmiernie ułatwiła mu sprawy. Bardziej, niż mógł sobie wymarzyć.

Później wróciła do Lodge, zatrzymując się na chwilę ze zdziwienia, gdy ujrzała Joe Treynora zajmującego się ogrodem.

— Cześć, Joe! — Zamykając furtkę odwróciła się do niego i obdarzyła go uśmiechem.

— Dzień dobry raz jeszcze, panno Forester. — Dotknął kapelusza staroświeckim gestem uszanowania. — Miałem wolną chwilę, a w szklarni zostało trochę sadzonek, więc pomyślałem, że będą wyglądały pięknie właśnie tutaj, teraz gdy wszystko jest w pełnym rozkwicie.

— A więc to panu powinnam dziękować za tak pięknie wyglądający ogródek. — Tansy z aprobatą spojrzała na rzędy kolorów.

— Byłem dumny, pracując dla pani dziadka — odparł. — I będę to robił, póki to miejsce będzie należało do Whittonów.

Tansy zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy w zdaniu nie kryje się nutka krytycyzmu, czy było to tylko staroświeckie spojrzenie na sprawy. Nie mogła oczekiwać, aby ktokolwiek z tych ludzi cieszył się z wieści o przejęciu firmy, a jednak jak miała ich przekonać, że nie byłyby to aż taka katastrofa, za jaką ją uważali?

— Wszystkim wam zostanie zaproponowana jakaś praca, Joe — oznajmiła — jeśli firma zmieni właściciela.

Przerwał zajęcie, a jego pomarszczona twarz przybrała wyraz niepewności.

— Skoro pani tak mówi — wyszeptał. Na dźwięk tych słów Tansy westchnęła.

— Właśnie tak twierdzą. Pan Tregarth zapewnił mnie co do tego — powiedziała spokojnie. — Może wypiłby pan trochę kawy? — zapytała, zdecydowana zmienić temat.

Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— To byłoby bardzo miłe — odparł.

— Dobrze. Zakrzątnę się wokół kawy — obiecała, kierując się w stronę Lodge. Czowała, że to i tak niewiele w porównaniu z poświęceniem tego człowieka dla jej dziadka.

Gdy w jakiś czas później wróciła do ogrodu z tacą, słońce właśnie przebiło się przez chmury i nie miała ochoty wracać do mrocznego wnętrza domu. Uśmiechając się w podziękowaniu, staruszek przyjął oferowaną mu kawę. Oparta o murek ogrodu wypila łyk ze swej filiżanki i przez chwilę zapanowała między nimi cisza.

— Mark... pan Harmon... mówił mi, że pracuje pan tutaj od dziecka — zaczęła rozmowę spoglądając na mężczyznę.

Skinął głową i przybrał zamyślony wyraz twarzy.

— Służyłem pani dziadkowi prawie przez całe życie — powiedział.

— Nie mogłem sobie wymarzyć współpracy z lepszym pracodawcą i człowiekiem.

Tansy spojrzała na swą filiżankę. Nie trzeba było jej przypominać, jak błędnie oceniała swego dziadka.

— Żałuję, że go nie spotkałam — powiedziała cicho. — To wszystko było takie niepotrzebne... — dodała zastanawiając się, ile Joe wie o wydarzeniach sprzed lat.

— To nie pani wina — oznajmił zatroskanym głosem. — Chodziło jedynie o nieporozumienie między pani matką a panem Whittonem, które nie powinno było się tak rozrosnąć, jeśli wolno mi tak sądzić, panienko.

Spojrzała na niego. Wiedział więcej o tych czasach, niż przypuszczała. A może wiedział też o dziecku?

— Jak wiele wie pan na ten temat, Joe? — zapytała łagodnie.

Wyraz jego twarzy zmienił się.

— Niewiele — odparł. — Pan Whitton nie zwierzał mi się, panienko, a mnie samego nie interesują plotki.

Wiedział więcej, niż był gotów powiedzieć. Tansy była tego pewna. Jeśli nie dowiedział się tego od samego dziadka, to z innych źródeł. Pracował tu przecież w tym samym czasie co dziewczyna, którą porzucił jej ojciec. Oceniała jednak, że więcej na ten temat nie powie. Pracownicy Bensona Whittona byli niesłychanie lojalni wobec niego, nawet po śmierci. Wiedziała, że próby przełamania tej lojalności nie byłyby fair z jej strony. Istniały inne sposoby zdobycia informacji, których mogła spróbować. A jednak obiecała Markowi Harmonowi, że poczeka na uzyskane przez niego rezultaty i będzie honorowała tę obietnicę.

— Co pan sądzi o proponowanym przejęciu interesu, Joe? — spytała zmieniając temat. — Zdaję sobie sprawę, że nie cieszy się pan z tego, ale proszę pomyśleć o przyszłości...

— Nie będzie żadnej przyszłości, panienko, jeśli Tregarth położy ręce na szklarniach — powiedział beznamiętnie. Uniknąwszy rozmowy o przeszłości, wydawał się niezwykle skłonny wyrażać opinię o przyszłości. Tak jej się przynajmniej wydawało.

— Tregarth planuje być może inwestycje kapitałowe w tym miejscu, by przekształcić je w część swego koncernu — zaznaczyła.

— Zgadzam się z tym! — potwierdził Joe. — Jeśli tak, chylę przed nim czoło. Ale nie sądzę, by się tak stało.

— Naprawdę pan w to nie wierzy? — zapytała Tansy. — Czy też Mark Harmon przekonał wszystkich o tym, że przejęcie interesu przez Tregartha nie oznacza niczego dobrego? Proszę mi powiedzieć, co pan sam o tym myśli, Joe — domagała się.

Przez jego twarz przebiegł wyraz niezdecydowania i instynktownie zdała sobie sprawę, że trafiła w czułą stronę. Mark Harmon wpływał na pracowników. Nie była jedynie pewna, czy wynikało to z rzeczywistej troski o przyszłość, czy z braku zaufania wobec niej.

— Jest pani wnuczką Whittona, nie zrobiłaby pani nic przeciwko nam, jestem pewien! — oznajmił Joe. — Wolałbym jednak, aby pani powtórnie rozważyła swe decyzje. To miejsce znajdowało się w rękach Whittonów od lat.

A więc kierował nim sentyment, pomyślała, a nie strach przed tym, co zrobi Tregarth. Ta myśl przyniosła jej ulgę.

— Wszystko się zmienia, Joe — powiedziała łagodnie. — Chciałabym pomóc panu to dojrzec — westchnęła, zdając sobie sprawę z okrucieństwa swych słów. Joe był stary; spędził tutaj całe życie. Jakże mógł zaakceptować zmiany, które przyniosła śmierć Bensona Whittona?

— Pewnego dnia — powiedziała — to miejsce może wyrosnąć na najważniejszą placówkę ogrodniczą na tym obszarze.

— Pan Harmon mówił nam, w jaki sposób Tregarth zmieni te tereny na boiska, czy coś w tym sensie. — Ton Joego był niepewny.

Tansy westchnęła. Mark Harmon dobrze wykonał swoją robotę...

— A mój dom... — Nagle strach przemieszał się z niepewnością na jego pooranej starością twarzy. — Co się z nim stanie, panienko? Nasz domek znajduje się na ziemi Whittonów, nad strumieniem. Paru z nas ma tam domostwa. Pan Whitton odnajął je nam za skromną opłatą; wiedział, że nie możemy sobie pozwolić na płacenie zbyt wielkich sum. Ale jeśli

przejmie to Tregarth, co się wtedy stanie? — Zwrócił na nią pytające oczy z okrutnym, niemym wyzwaniem. Pod wpływem impulsu położyła dłoń na jego ramieniu i spojrzała mu w twarz.

— Nie wiedziałam o tym, Joe. Nikt mi nie powiedział. — Głos jej lekko drżał. — Wasze domy będą bezpieczne, Joe. Obiecuję to wam. Pan Tregarth, jeśli przejmie firmę, nie będzie miał prawa ruszać domków. Prawdę powiedziawszy... — Wzięła głęboki oddech nawiedzona nagłą myślą. — Będę musiała przyjrzeć się prawnej stronie wszystkiego, lecz jeśli istnieje jakaś szansa na odkupienie przez niego ziemi bez domków, może pan być pewien, iż ją wykorzystam.

— Dziękuję, panienko — przemówił z wdzięcznością. — Wiedziałem, że zrobi pani wszystko, co tylko możliwe. A teraz muszę już wracać. Mam mnóstwo do zrobienia; o tej porze roku wszystko rośnie jak oszalałe... — Odstawiwszy filiżankę na tacę, wrócił do pracy.

Wyczuwając jego potrzebę samotności dla zebrania myśli, Tansy zabrała tacę i poszła do domu spoglądając za siebie przez ramię. Staruszek cierpliwie pielął grządki i widok ten przez moment ujął ją za serce. Początkowo wydawało się to takie proste. Sprzedać firmę bez angażowania się w sprawy pracujących tu ludzi. A jednak w miarę upływu czasu przekonywała się, że nie wszystko jest takie proste. Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, dlaczego Benson Whitton złożył na nią odpowiedzialność za losy tych ludzi? Czy wiedział, że jej matka będąc spadkobierczynią sprzedałaby wszystko bez zmużenia powiek po tym, co zaszło między nimi? Dlaczego był tak pewien, że Tansy nie zrobi tego samego? W końcu była tu obcą osobą pomimo ich związków rodzinnych. Nie wiedziała nic o tych ludziach ani o ich stylu życia. A jednak coraz bardziej czuła, jakby jakaś siła wokół niej próbowała ją tu zakotwiczyć i uczucie to nie było dla niej miłe. Nie należała do tego miejsca.

Nieświadomie spojrzała na telefon i odczuła nagłą potrzebę zadzwonienia do Davida Firtha; nawiązania kontaktu ze światem, który czasowo zostawiła za sobą. Jego głos dodałby jej otuchy. Poza tym chciała sprawdzić, co do tej pory załatwił z jej spraw. Dodzwoniła się do biura łatwiej, niż oczekiwała i uśmiechnęła się słysząc radosny głos telefonistki, Mary Livingstone.

— Tansy! Jak się masz? Kiedy wracasz? — spytała Mary usłyszawszy jej głos.

— Mam nadzieję, że wkrótce — odparła Tansy. — Ten interes zabiera nieco więcej czasu, niż przypuszczałam.

— Wygląda na to, że stanęłaś na rozdrożu — skomentowała Mary.

— To całkiem miłe miejsce — broniła się Tansy — a ludzie... Cóż, większość z nich jest bardzo przyjazna.

Wysłuchała się w potok słów Mary, wtrącając własnych parę zdań, gdy tylko nadarzyła się okazja.

— Czy David jest w biurze, Mary?

— Sądzę, że tak. Widziałam go wcześniej — usłyszała w odpowiedzi.

— Poczekaj chwileczkę.

Tansy czekała cierpliwie, a czas upływał. Właśnie zaczynała się zastanawiać, co się dzieje, gdy powróciła Mary.

— Przykro mi, Tansy. Wyszedł właśnie z biura. Myliłam się...

— Och... — Tansy zmarszczyła brwi. W głosie Mary było coś niepokojącego. Była niemal pewna, że David nie wyszedł z biura.

— No cóż, nie szkodzi. Spróbuję zadzwonić później — powiedziała.

— Tak, spróbuj...

Czyżby dosłyszala ulgę w głosie Mary, zastanowiła się nagle? Wówczas przyszło jej do głowy, że David był pewnie w biurze, ale przy podwójnym obciążeniu pracą nie miał czasu z nią porozmawiać. Słyszała już kiedyś przedtem podobną nutę w głosie Mary, gdy ktoś z biura prosił ją o zbycie telefonującego. Nie miała jednak nic przeciwko temu. W końcu David robił dla niej, co mógł i nie powinna mu w tym przeszkadzać. Zadzwoni później do niego do domu. Laura zaprosiła ją na kolację, lecz Tansy odmówiła, nie chcąc sprawiać kłopotu i nie mając ochoty spędzać znów wieczoru w towarzystwie Marka Harmona.

Później zdecydowała się na spacer, ciekawa obejrzenia kolejnych uroków wyspy. Słyszac za sobą samochód, odwróciła się schodząc na bok ścieżki i uśmiechnęła się, gdy rozpoznała Heather Parker za kierownicą. Zatrzymawszy samochód, kobieta wychyliła się z niego i uniosła dłoń w powitalnym geście. Tansy jednak miała uczucie, że tamta chętnie pojechałaby dalej, gdyby mogła to uczynić, nie narażając się na uznanie za niegrzeczną.

— Wspaniały wieczór, prawda? — przemówiła miłym głosem, licząc, że w ten sposób sprowokuje przyjazną odpowiedź. — Właśnie skończyła pani pracę, jeśli się nie mylę?

— Zgadza się — potwierdziła Heather. — A pani wybrała się na spacer po naszej wyspie? — Określenie „nasza wyspa” zabrzmiało jak użyte celowo, by podkreślić obcość Tansy w tym miejscu.

— Tak. W końcu nie zabawię tu długo — odpowiedziała szybko, mając nadzieję, że kobieta zrozumie jej intencję, że nie ma się czym

przejmować, bo obu im również zależy na szybkim wyjeździe Tansy z wyspy.

Z pewnością rozumiała, ponieważ gdy ponownie przemówiła, jej głos był znacznie cieplejszy:

— To śliczne miejsce, panno Forester. Muszę pokazać pani kilka interesujących zakątków.

— To byłoby miłe — odparła Tansy szczerze. — Może wybrałybyśmy się na drinka, albo gdzieś indziej.

— Jeśli znajdziemy trochę czasu — mruknęła Heather. — Porozmawiam o tym z Markiem, gdy się zobaczymy wieczorem. Chyba uda się go namówić.

Odjechała machając dłonią i pozostawiając zmarszczoną Tansy na drodze. Czy zrobiła to celowo, wspominając o spotkaniu z Markiem Harmonem dziś wieczór? Z jakiegoś powodu Tansy poczuła się zażenowana. Heather Parker wydała jej się nagle niepewna swego, zwłaszcza w relacji z Markiem Harmonem. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym silniejsze było owo wrażenie. Z pewnością jego stosunek do Tansy, zarówno w czasie wspólnej kolacji, jak i dzisiejszego ranka nie powinien pozostawić Heather żadnych wątpliwości. Musiało być dla niej oczywiste, że prawdopodobieństwo zaprzyjaźnienia się Tansy i Marka Harmona, a cóż dopiero czegoś więcej było bardziej niż odległe. Czując się nieprzyjemnie przygnębiona zdecydowała się zawrócić do Lodge. Perspektywa długiego, samotnego wieczoru nie była zbyt kusząca. Żałowała teraz, że odrzuciła zaproszenie Laury, zwłaszcza w świetle niedawnej informacji, że jej syna tam nie będzie. Jak widać dyrektor generalny Whitton Lodge Nurseries nie zamierzał zmieniać swych zwyczajów dla jej wygody. Jadła z nim kolację poprzedniego wieczoru i uznał, że to wystarczający honor.

Kierując się do Lodge, podeszła do okna. Światła szklarni były wyłączone, wszystko pozamykane na noc, a ona nagle poczuła się samotna. Myślni podążyła instynktownie ku życiu na stałym lądzie i to przypomniało jej o zamiarze zadzwonienia do domu Davida. Wykręciła numer i odczekała chwilę, niemal pewna, że go nie zastanie. Usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki i jego miękki głos.

— David. Tu Tansy...

Nie udało jej się powiedzieć nic więcej, bo słuchawka została odłożona. Co się stało? Nacisnąwszy na widełki nasłuchiwała. Z linią było wszystko w porządku; sygnał normalny. Powtórnie wykręciła numer Davida i odczekała chwilę na połączenie. Natychmiast usłyszała sygnał

zajętej linii i zdała sobie sprawę, że on prawdopodobnie nadal trzyma słuchawkę, równie zdziwiony jak ona. Rezygnując na chwilę z dodzwonienia się, poszła do kuchni zrobić sobie kawy. Próbując dodzwonić się dziesięć minut później, natrafiła znów na zajęty numer. Po pół godzinie sytuacja powtórzyła się.

Tym razem zaczęły się w niej rodzić pewne wątpliwości. Przypomniała sobie wrażenie, jakie odniosła dzwoniąc wcześniej do biura; wydawało się jej, że David tam jest, pomimo zaprzeczeń Mary Livingstone. Teraz z pewnością był na miejscu. Słyszała go, odezwała się do niego i zdążyła się przedstawić, zanim przerwano rozmowę. Wstrzymała oddech. Czy rzeczywiście przerwano rozmowę? I dlaczego do niej nie oddzwonił, skoro już wiedział, że próbowała się z nim skontaktować? Miał numer do Lodge; zostawiła mu go na wypadek jakichkolwiek problemów. Nie mogła opanować uczucia, że coś jest nie tak; że David z jakiegoś powodu odłożył słuchawkę, gdy tylko zorientował się, kto dzwoni. Czy unikał rozmowy z nią? A jeśli tak, to dlaczego? Może była to jej wyobraźnia, a może na lądzie rzeczywiście coś się działo. Coś, o czym nie miała pojęcia i czego nie miała szansy poznać tkwiąc, na tej wyspie...

Rozdział 4.

Uparte dzwonienie telefonu dotarło wreszcie do jej świadomości. Natychmiast usiadła na łóżku. Czy mógł to być David? Srebrne promienie słoneczne sączyły się przez szpary między zasłonami, a spojrzenie na zegarek przy łóżku powiedziało jej, że jest już pół do dziewiątej. Parę sekund potem zbiegła lekko do holu i zaczerpnąwszy tchu podniosła słuchawkę.

— Halo? Mówi Tansy Forester.

— Panna Forester! Mówi Tregarth.

— Ach, pan Tregarth. — Nuta zawodu w jej głosie spowodowana tym, że nie był to David, zniknęła na wieść, iż Tregarth jest na wyspie. Mogła wreszcie nawiązać z nim kontakt.

— Przepraszam, wydaje mi się, że zadzwoniłem zbyt wcześnie. — Musiał wyczuć jej senność przez telefon.

— Nie. Wszystko w porządku — zapewniła Tansy. — Proszę mówić dalej.

— Dobrze. — Jego ton zmienił się na weselszy. — Wróciłem na wyspę wczoraj późną nocą i chciałbym ruszyć z interesami najszybciej jak to możliwe. Rozumiem, że i pani to odpowiada?

— Oczywiście. — Tansy strząsnęła z siebie resztki snu. — Prawdę powiedziawszy chciałabym wrócić do miasta jak najszybciej.

— Wyobrażam sobie — odparł. — Może spotkamy się dziś na lunchu i porozmawiamy wstępnie? Mam nadzieję, że jest pani wolna?

— Och, tak. — Próbowała sobie przypomnieć, czy Mark Harmon nie zrobił jakichś planów i z ulgą zdała sobie sprawę, że nie. Nie cieszyłyby się z ich zmiany spowodowanej spotkaniem z Paulem Tregarthem.

— Świetnie. A zatem może około pół do pierwszej w Smugglers Retreat? — zaproponował. — To przy głównej ulicy miasta; każdy wskaże pani drogę, jeśli jeszcze tam pani nie była.

— Dam sobie radę — powiedziała Tansy.

— Znakomicie. Więc do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i w zamyśleniu ruszyła na górę. Zastanawiała się, czy nie lepiej zataić spotkanie przed Harmonami? Wcześniej czy później i tak się dowiedzą. Gdy w jakiś czas potem opuszczała Lodge wykąpana i przebrana, nadal wahała się z decyzją. Poszła w kierunku szklarni. Nie była pewna, jak ją tam przyjmą. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, było zrobienie wrażenia, że ich kontroluje, więc niezdecydowanie zbliżyła się do głównego budynku. Zaglądając przez szybę dostrzegła

Marka Harmona rozmawiającego z kimś. Chciał już odejść, gdy dostrzegł ją wchodzącą do środka. Widać było znikomą ochotę, z jaką skierował się ku niej.

— Witam.

— Dzień dobry! — Świadoma napięcia między nimi,

Tansy próbowała przełamać lody. — Czy nie przeszkadzam?

— To nie ma znaczenia — odparł chłodno. — W końcu jest pani tu szefową.

Tansy powtórnie usiłowała ukryć swą irytację. Wydawało się, że mężczyzna jest gotów utrzymać dystans między nimi. Po ich rozmowie w Jaskini Merlina poprzedniego dnia bariera ta wydawała się zmniejszyć na skutek podzielonej wiedzy o wydarzeniach z przeszłości. Teraz jednak powróciła ze zdwojoną siłą.

— Zastanawiam się jedynie, czy dowiedział się pan czegoś o... cóż, na temat tego, o czym dyskutowaliśmy wczoraj — powiedziała.

— Wracam do biura na kawę. Pójdzie pani ze mną? — Ruszył, a ona podążyła za nim. — Prawdę powiedziawszy nie posunąłem się ani o krok — odpowiedział na jej pytanie, gdy wyszli na zewnątrz i skierowali się do biura.

— Och!

— To raczej delikatna sprawa — stwierdził zauważając jej zawód. — Nie można o tym wspominać każdemu, kogo się spotka.

— Oczywiście, że nie — mruknęła Tansy. — A komu pan o tym wspomniał? — spojrzała na niego pytająco.

— No cóż, większość zatrudnionych jest zbyt młoda, by o tym pamiętać — odparł. — Jest stary Joe, ale on trzyma język za zębami.

— Tak. — Tansy przypomniała sobie własne wysiłki w tym kierunku. Zerknęła na Marka.

— Cóż zatem robimy dalej?

— Nie wiem — przyznał szczerze. — Ale jest jeszcze jedna czy dwie osoby, które mógłbym wypytać. Tego dziecka może już nie być na wyspie; czy brała to pani pod uwagę?

— Tak — przyznała Tansy. — Ale mam przeczucie, że gdzieś tutaj tkwi odpowiedź. W zasadzie... — zmieniając temat nawiązała do głównego powodu przybycia do szklarni. — Wybieram się tego ranka do miasta na zakupy i... no cóż...

— Spotkać Tregartha? — Zasugerował chłodno, gdy zrobiła pauzę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Ostatniej nocy słyszałem helikopter — wyjaśnił. Była zadowolona, że nie spróbowała ukryć, iż Tregarth skontaktował się z nią.

— Prawdę powiedziawszy wybieram się z nim na lunch — powiedziała niemal prowokująco.

Dotarli już do biura i mężczyzna otworzył jej drzwi.

— Heather jedzie do miasta zawieźć zamówione rośliny — powiedział nieoczekiwanie. — Chętnie panią podwiezie i wskaże to miejsce, gdzie ma się pani spotkać z Tregarthem.

Odwrócony do niej tyłem włączał właśnie elektryczny dzbanek.

— Dobrze — uśmiechnęła się Tansy. — To pozwoli nam na małą pogawędkę.

— O czym? — Odwrócił się do niej, nasypując kawy do kubków i spojrzął na nią zamyślony.

— Och, o niczym szczególnym — odparła Tansy. — Po prostu pomyślałam, że nie miałyśmy dotąd zbyt wielkich szans na pogawędkę.

Przez moment nic nie mówił.

— Próby przekabacenia jej na pani stronę są stratą czasu — powiedział w końcu.

— Na moją stronę? — Spojrzała na niego ze złością. — A skąd panu przyszło do głowy, że chcę kogoś przekabacić?

— Tak tylko pomyślałem — oznajmił. — Ale nawet jeśli by tak było, nie miałyby to sensu. Po cóż bowiem zbyt spoufalać się z pracownikami, skoro zamierza pani wszystko sprzedać Tregarthowi?

— Wcale nie jest powiedziane, że mu coś sprzedam — odcięła się Tansy.

— Czyżby? — zmarszczył brwi. — A zatem nie jest zbyt późno, by zagrać na pani czułych strunach i spróbować przekonywać panią do zatrzymania firmy? — W jego głosie kryła się drwina.

Odkładając filiżankę zrobił szeroki ruch dłonią. Tansy wstała z niebezpiecznie błyszczącymi oczyma.

— Nie sądzę, abym miała powody dalej tu pozostawać? — spytała spokojnie.

— Nie ma pani — odparł. — Życzę smacznego lunchu — dodał, kiedy otwierała drzwi i wychodziła.

Policzki Tansy oblały się rumieńcem, gdy wracała do Lodge. Czyżby oczekiwała od niego zbyt cywilizowanego zachowania? Nie czynił sekretu ze swej niechęci do jej planów. A jednak miała pełne prawo do sprzedania szklarni, jeśli tylko chciała. Od początku próbował ją zmusić do zrobienia tego, co sam uważał za słuszne, rozbudowując niechęć

wobec niej u pracowników. Teraz oskarżał ją o to samo! Nie mogła się powstrzymać od westchnienia. Wczoraj w jaskini, gdy dowiedzieli się prawdy o tym, co miało miejsce między jej dziadkiem a rodzicami, wydawali się zyskać już pewne porozumienie i nawiązać nikłą nic przyjaźni. Wyczuwała też, że w odpowiednich okolicznościach ten mężczyzna potrafiłby być dobrym przyjacielem. A jednak wszystko wskazywało na to, że tego ranka znów wrócili do konfrontacji. Dlaczego zatem dała się sprowokować do wyznania, iż sprzedaż nie jest jeszcze przesądzona? Wiele tygodni temu zdecydowała uwolnić się od tego niechcianego spadku najszybciej, jak tylko można. Przeszkody mnożyły się, choćby w postaci łąki dzikich kwiatów i domków pracowników, lecz tego rodzaju rzeczy mogła szybko zignorować. Od początku odnosiła jednak wrażenie, któremu próbowała się opierać, że istnieje pewnego rodzaju obligacja wobec dziadka, by utrzymać firmę w rodzinie. Jeśli uwierzyłaby w winę Bensona Whittona wobec jej rodziców, rozwiązanie nasuwało się samo. Jednak w obliczu pewnych faktów towarzyszących odmowie pomocy jej ojcu w kłopotach finansowych, sprawy nie były tak oczywiste. Mieszkając w jego domu, otoczona jego dobytkiem, Tansy była przez nie przytłoczona. Czy można było usprawiedliwić podejrzenia Marka Harmona, który uznał, że wywiera nacisk na pracowników? A może to jej własne poczucie winy sprawiało, że szukała usprawiedliwienia?

W parę minut później usłyszała warkot land-rovera podjeżdżającego pod Lodge. Sięgnąwszy po okrycie i torbę pospieszyła na zewnątrz. Heather czekała na nią ze sztucznym, pobłażliwym uśmiechem i Tansy nie miała potrzeby zastanawiać się, czy Mark wyjawiał jej powód wyprawy do miasta. Zajmując miejsce pasażera, 'odwróciła się do tyłu i obejrzała rzędy roślin załadowanych na samochód.

— Jakie śliczne! — wykrzyknęła. — Czy to jakaś specjalna okazja?

Heather skinęła głową.

— Jutro odbywa się bal. Dostarczamy kwiaty na wszystkie ważne imprezy na wyspie; doroczną wystawę, przyjęcie burmistrzowskie czy Whitton Lodge Garden Party.

— Whitton Lodge Garden Party? — Tansy spojrzała na nią zdziwiona. — Niczego o tym nie słyszałam.

— Och, w tym roku nie robiliśmy żadnych planów z powodu śmierci pani dziadka i tak dalej. — Heather wyglądała na skrepowaną. Nie powinna była o tym mówić.

— Proszę — zachęciła Tansy. — To mnie interesuje. Proszę mówić dalej.

— No cóż, zabawa zwykle odbywa się w pierwszą sobotę lipca, na rzecz lokalnego rezerwatu — niechętnie powiedziała Heather.

— Ależ to będzie w tę sobotę! — wykrzyknęła Tansy. — Dlaczego nie robiliście wszystkiego tak jak zwykle?

Heather wzruszyła ramionami.

— Nie sądziliśmy, że będzie pani miała na to czas i ochotę, w świetle tego... no cóż, sama pani wie...

Tansy zmarszczyła brwi. Dlaczego wszyscy przypuszczali, że szklarnie wcale jej nie interesują, ponieważ chciała je przekazać w inne ręce?

— Wszystko mogło iść swoim trybem — powiedziała. — Nie miałabym nic przeciwko temu.

— No cóż. — Heather z pewnością żałowała swej gadatliwości. — W jakim punkcie miasta pani mieszka?

Celowo zmieniała temat i Tansy pojęła tę wskazówkę. Gdy podała nazwę miejsca, twarz Heather rozjaśnił uśmiech.

— Niedaleko stąd chodziłam do szkoły — oznajmiła i dodała cicho: — Spędzony tam czas to najszczęśliwsze chwile w moim życiu.

— Brzmi to zupełnie tak, jakby żałowała pani, że przybyła na wyspę.

Tansy spojrzała na nią w zamyśleniu.

— Wuj zapłacił za moje wykształcenie — mruknęła. — Wróciłam, aby pomagać przy kwiatach.

— Ale on na pewno do niczego pani nie zmuszał? — spytała Tansy.

— Tym niemniej czułam, że powinnam wrócić — powiedziała Heather.

Ale to tylko część prawdy, czyż nie — pomyślała Tansy. Pozostaje jeszcze Mark Harmon...

— Mark mówił mi, że łąka dzikich kwiatów to głównie pani dzieło — skomentowała.

— Och... — Heather wykonała obojętny gest. — To była robota mojego wuja; ja tylko mu pomagałam.

— Jestem pewna, że nie tylko — powiedziała Tansy ciepło.

— To był jego sen — rozmarzyła się na moment Heather. — Ja tylko pomagałam mu go zrealizować.

Spoglądając na nią, Tansy zastanawiała się, czy nie zadać jeszcze paru pytań. Początkowo napięcie między nimi wydawało się nieco zmaleć.

Być może Heather wreszcie zdała sobie sprawę, że jeśli chodzi o Marka Harmona, Tansy nie jest żadną konkurencją...

— Ta łąka była jego dumą i radością — powiedziała nagle Heather. — Utrzymujemy ją jako pamiątkę po nim, a nie tylko ze względu na jej wartości rezerwatowe. Jeśli miałyby się z nią cokolwiek stać...

Tansy odwróciła wzrok z zażenowaniem. Jak wiele razy miała udzielać zapewnień, że zrobi wszystko, by Paul Tregarth nie naruszył łąki? Na moment zapadła cisza, a potem Tansy znów spojrzała na rozmówczynię.

— Jaki on był, mój dziadek? — spytała. — To znaczy naprawdę jaki. Heather zastanowiła się.

— Był surowy, niekiedy nawet porywczy. Ale był absolutnie fair — powiedziała w końcu.

Tansy zastanawiała się, czy było tak naprawdę? Czy był fair, kiedy przed laty odwrócił się plecami od proszącej o pomoc jej matki? A jednak czy miała prawo go sądzić, wiedząc tak mało o tych wydarzeniach? Czy miała prawo sądzić swych rodziców? Nikt w tej sprawie nie pozostawał absolutnie bez zarzutu.

— To był wspaniały człowiek. Jestem dumna mogąc należeć do jego rodziny — podsumowała nagle Heather.

Słuchając tego Tansy wydało się, że w słowach tych zawarta jest ukryta informacja. A ty, jego jedyna wnuczka, nigdy się do niego nie zbliżyłaś... Im mniej będą rozmawiać o Bensonie Whittonie, tym lepiej. Tansy zamyśliła się. Obecnie jej umysł pełen był innych spraw. W zamęcie spowodowanym telefonem Paula Tregartha zapomniała o swych usiłowaniach dodzwonienia się do Davida poprzedniego dnia. Teraz wróciła do tego myślami. W świetle dnia skrepowanie, które czuła ze względu na niemożność dodzwonienia się do niego, zginęło nagle i wydało jej się nierozsądne. To wszystko wynikało jedynie z zamieszania, z niczego więcej. Nie było żadnej realnej potrzeby dzwonienia do niego, z wyjątkiem odczuwanej samotności, która zmusiła ją do odwołania się do kogoś i czegoś znajomego. Odtrącenie przez Heather jej oferty przyjaźni w połączeniu z niechęcią ze strony Marka Harmona dały jej na moment poczucie, że jest intruzem na tej pięknej wyspie, wśród niewątpliwie hermetycznej społeczności. Teraz zdała sobie sprawę, że było to jedynie obniżenie nastroju, swego rodzaju melancholia, która zawładnęła nią na moment, spowodowana prawdopodobnie samotnym przebywaniem w mrocznym domu dziadka. Jeśli będzie tu musiała

pozostać jeszcze trochę, poczyni pewne zmiany. Ta myśl ją zdziwiła. Nie istniała żadna szansa, by spędziła tu więcej czasu niż to konieczne...

Było już widać miasto i z ulgą skierowała wzrok na zbliżające się budynki. Cisza pomiędzy nią a Heather nieco się wydłużała po tak obiecującym początku.

— Gdzie mam panią podrzucić? — Heather spojrzała na nią pytająco.

— Wszystko jedno gdzie — odparła Tansy. — Chcę zrobić przed spotkaniem trochę zakupów.

Zatrzymawszy land-rovera Heather poczekała, aż Tansy wysiądzie i zamknęła za nią drzwi.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się Tansy.

— Proszę nie pozwolić, by Mark wymuszał na pani utrzymanie szklarni, jeśli jest pani innego zdania — niespodziewanie powiedziała Heather patrząc na nią przez otwarte okno. — Życie będzie toczyło się dla nas dalej, bez względu na kierownictwo.

Odjechała, zanim Tansy zdążyła odpowiedzieć, zostawiając ją wpatrzoną w zamyśleniu w oddalający się samochód. Jakże dziwne było to, co usłyszała! Wyglądało na to, że asystentka Marka Harmona nie podzielała jego miłości do firmy ani do samej Calanary. Wyczuła nutkę żalu w głosie Heather, gdy ta mówiła o czasach spędzonych na lądzie. Zdawało się, że jedynie lojalność wobec Bensona Whittona przywiodła ją tu z powrotem. Nie było to wcale dziwne. Heather była bądź co bądź utalentowaną ogrodniczką. Mogła zająć daleko, gdyby nie zaszyła się na tej maleńkiej wyspie. Pamiętając o spotkaniu z Paulem Tregarthem, spróbowała nie myśleć dłużej o Heather Parker. Zakupy nie potrwały długo i zjawiała się w Smugglers Retreat przed czasem. Mimo to Paul Tregarth już na nią czekał. Wstał od stolika w rogu, gdy weszła do restauracji i rozłądała się niepewnie.

— Pan Tregarth. — Spojrzała z zainteresowaniem na wysokiego szarowłosego mężczyznę. Podeszła do jego stolika i wyciągnęła dłoń.

— Panna Forester. Nareszcie się spotkaliśmy. Mimo ciepłego uśmiechu na twarzy w jego oczach

czaił się spryt. Ten człowiek nadaje się do robienia wszelkich interesów — pomyślała Tansy. Na pierwszy rzut oka było widać, dlaczego Mark Harmon go nie lubi. Elegancki garnitur, złote spinki i szpilka w krawacie; wszystko to składało się na obraz człowieka ukierunkowanego na sukces. Była w nim również pewna arogancja, którą Tansy wyczuła już w pierwszych minutach spotkania. Kelner już czekał i Paul Tregarth przywołał go, gdy tylko Tansy usiadła.

— Może drinka, w czasie gdy będziemy czekali na jedzenie? — Uśmiechnął się do niej zdawkowo. — Potem zabierzemy się do finalizowania wszystkiego.

Śluchając tego Tansy odniosła wrażenie, że traktuje on to spotkanie jak czystą formalność. Jakby wszystko było już ustalone. Dlaczego miałyby to jej przeszkadzać? Finanse nie stanowiły problemu; mogli to przedyskutować prawnicy w momencie, gdy już zostanie osiągnięte porozumienie. A jednak coś nie dawało jej spokoju.

— Panie Tregarth — spojrzała na niego niepewnie, gdy już zamówili potrawy — moją uwagę zwróciło parę rzeczy...

— Proszę mówić dalej — zachęcił, gdy przerwała na moment.

Wzięła głęboki oddech.

— No cóż, po pierwsze, jest tam taka łąka z dzikimi kwiatami, jak sądzę wie pan o jej istnieniu? — Spojrzała na niego pytająco.

— Oczywiście; jakże bym mógł o tym nie wiedzieć? Znajduje się ona tuż obok moich pól golfowych.

Słyszając go Tansy przypomniała sobie sarkastyczne słowa Marka Harmona dotyczące zamiarów Paula Tregartha odnośnie do łąki. Przygryzła wargę.

— Zapewniłam pana Harmona, że dojdziemy do porozumienia w sprawie nienaruszalności tej łąki — powiedziała.

— Och? — Pytająco uniósł brwi, choć uśmiech nie zniknął mu z twarzy. — Pan Harmon — kontynuował w zamyśleniu. — To ten rezolutny młodzieniec, o ile sobie przypominam. W przeszłości często nie zgadzaliśmy się ze sobą.

Tansy również przybrała zamyślony wyraz twarzy. Nawet teraz, siedząc twarzą w twarz z tym mężczyzną, nie mogła uwierzyć, że oskarżenia Marka Harmona co do aktów wandalizmu w szklarniach miały jakiegokolwiek podstawy. To pewne, że człowiek pokroju Tregartha nie zniżyłby się do takich metod. Przed chwilą otwarcie przyznał, że nie zgadza się z Markiem Harmonem, a jednak daleki był od rozdzierania szat.

— Tak jak pani wie, udzieliłem zapewnienia, iż wszyscy pani pracownicy otrzymają alternatywne zatrudnienie — mówił.

Alternatywne zatrudnienie. Brzmiało to, jakby nie miał zamiaru utrzymania szklarni w obecnej formie — pomyślała Tansy. Dlaczego jednak miałyby się tym przejmować, skoro i tak zdecydowała o wszystkim przed przyjazdem na wyspę? Zdała sobie wówczas sprawę, że Calanara oczarowała ją i oplotła niewidzialnymi więzami. Jak to mówiła

matka w liście? Że wyspa nie wypuści jej już w momencie pojawienia się na niej. Pierwszy raz odczuła to wtedy, gdy ktoś określił pracowników Whitton Lodge Nurseries jako jej pracowników. Wzbudziło to w niej dziwne uczucie. W końcu byli jej pracownikami, prawda? Ona była właścicielką szklarni, nawet jeśli tylko czasowo, i jako taka, czy chciała czy nie, ponosiła odpowiedzialność za tych ludzi. Przypomniała sobie słowa starego Joe, wypowiedziane w sekrecie poprzedniego dnia. „Jest pani wnuczką Bensona Whittona. Nie robi pani nic przeciwko nam.” Laura Harmon mówiła to samo kilka dni wcześniej. Wszyscy widzieli w niej strażnika swych interesów.

— Panie Tregarth — włączyła się do rozmowy, więc spojrzał na nią z zaciekawieniem. — Nie odpowiedział mi pan na pytanie o dziką łąkę. Poza tym jest coś jeszcze. Niektórzy z moich pracowników, jak mi wiadomo, mieszkają w odnajętych domkach na terenie Whittonów. Obawiają się skutków przejęcia przez pana tej ziemi...

— Nie muszą — przerwał jej uśmiechając się — wiem o tych domkach. Ci ludzie będą mogli tam zostać, oczywiście, jestem jednak pewien, że rozumie pani konieczność wprowadzenia z czasem bardziej realnych opłat. W końcu jestem biznesmenem. Jeśli zaś chodzi o łąkę dzikich kwiatów, zobaczymy, co się da zrobić.

Tansy nie musiała już słuchać dalej. Nie był w stanie udzielić jej wystarczających gwarancji. W tym momencie dostrzegła, że Mark Harmon nie mylił się co do tego człowieka. W jego rękach nie będzie już szklarni, nie będzie zabezpieczenia dla starszków w rodzaju Joego, nie będzie łąki dzikich kwiatów. Nie istniał żaden sposób na zawarcie z nim ugody odnośnie do tego wszystkiego, gdyż siedzący przed nią mężczyzna nie znał nawet znaczenia słowa „ugoda”. Gdy tylko ziemia przejdzie na jego własność, zrobi z nią, co zechce. Tansy westchnęła. Wydało jej się wówczas, że cały czas wiedziała, choć ignorowała ten fakt, że nie powinna sprzedawać firmy i wszystkiego, co z nią związane, w ręce tego człowieka. Skoro już tu przybyła i pozwoliła, by wyspa ujęła ją za serce, a ludzkie nazwiska stały się dla niej twarzami określonych osób, jej plan musiał ulec zmianie. Nie mogła już dłużej wmawiać sobie, że firma zyska na tym ekonomicznie. Nie mogła zrzekać się odpowiedzialności za tych ludzi i wmawiać sobie, że dostaną oni jakąś pracę. W końcu Mark Harmon wygrał. Była to winna dziadkowi, człowiekowi, którego nigdy nie widziała, ale którego zdawała się coraz bardziej poznawać. Była mu winna przejęcie szklarni i utrzymanie ich w

rodzinie. Zupełnie jakby stał przy jej krześle i dodawał siły w rozmowie z siedzącym obok mężczyzną.

— Przykro mi, panie Tregarth — powiedziała spokojnie Tansy. — Obawiam się, że niepotrzebnie zabierałam panu czas. W końcu zdecydowałam, że nie sprzedam panu firmy.

Cisza, jaka zapadła po jej słowach, była napięta, lecz teraz, gdy już je wypowiedziała, opadły z niej wszelkie wątpliwości. Zupełnie jakby wszystkie wydarzenia od momentu przybycia na Calanarę nieuchronnie doprowadziły do podjęcia tej decyzji.

Paul Tregarth patrzył na nią, jakby zwariowała.

— Przepraszam? — powiedział w końcu.

— Zmieniłam zdanie — powtórzyła Tansy. — Przykro mi, ale taka jest moja decyzja.

— A kiedy pani tak zdecydowała? — Jego głos stracił serdeczność i zabrzmiał zimno. Była w stanie zrozumieć jego gniew. Ale nie chciała celowo go denerwować. Naprawdę chciała kiedyś mu to sprzedać i nie troszczyć się już o szklarnie. Nagle po prostu zdała sobie sprawę, że nie może odwrócić się tyłem do pracowników szklarni. W końcu była bardziej podobna do dziadka, niż sobie wyobrażali.

— Jeśli chodzi o kwestie pieniężne, to proszę wymienić sumę.

Z braku odpowiedzi Paul Tregarth ponowił pytanie.

— Nie o to chodzi — powiedziała Tansy niemal żalonym głosem. — Nie mogę sprzedać panu firmy, to wszystko.

— Chodzi o łakę, prawda? O tę śmieszłą kupę chwastów! — Z jego głosu zupełnie już zniknęła uprzejmość i był otwarcie wrogi. — Niezdrowa fantazja starego!

Tansy z szokiem obserwowała zmianę zachodzącą w twarzy mężczyzny po odrzuceniu maski. Był to właśnie ten człowiek, którego znał Mark Harmon, człowiek, o którym jej mówiono, a jednak nie chciała wierzyć, że taki jest naprawdę. Znieważenie dziadka jeszcze bardziej umocniło ją w postanowieniu. Paul Tregarth nie położy swoich łap na Whitton Lodge Nurseries, dopóki to jest zależne od niej. Wstając, powiedziała lodowato:

— W tych okolicznościach jestem pewna, że nie oczekuje pan mojego pozostania na lunchu, panie Tregarth.

— I nie zmieni pani zdania? — zapytał. Potrząsając głową Tansy zebrała się do wyjścia.

Właśnie odchodziła, gdy mężczyzna wstał i chwycił ją za ramię.

— Pożaluje pani tego — powiedział ostro.

Tansy spojrzała w zimne niebieskie oczy i zadrżała na widok tego, co tam dostrzegła. Ale nie była przeciwko niemu sama. Ta myśl ją pocieszała. Obok niej stanie Mark Harmon. Cokolwiek by ich dzieliło, w tym się zjednoczą.

W jakiś czas potem wsiadła do taksówki, która podwiozła ją do szklarni. Gdy taksówka odjechała, niezdecydowanie spojrzała na Gatehouse Cotage. Przy bramie stał zaparkowany samochód Marka Harmona. O tej porze dnia na pewno Mark jadł lunch. Pod wpływem impulsu skierowała się w tamtą stronę i zapukała do drzwi. Drżąc na wietrze, czekała. Mark otworzył osobiście i aż zmarszczył brwi ze zdziwienia na jej widok.

— Sądziłam, że powinnam pana poinformować jak najszybciej. — Tansy nie traciła czasu na wstępy. —

Zdecydowałam się nie sprzedawać firmy Tregarthowi. Patrzył na nią przez długi moment.

— Lepiej niech pani wejdzie do środka i coś zje — powiedział w końcu. — Domyślam się, że nie czekała pani na jedzenie?

Niedługo później Tansy siedziała już w środku, pijąc kawę i jedząc przekąskę, którą Laura uparła się dla niej przygotować. Zarówno ona, jak i Mark usłyszeli już całą historię i chociaż cieszyli się, nie zauważyła u nich oznak triumfu czy samozadowolenia. Nie domagali się też wyjaśnień dotyczących szczegółów decyzji odmownej ani nie wypytywali o jej przyszłe plany. A jednak dostrzegła wyraz zaciekawienia w oczach Marka Harmona i wcale jej to nie zdziwiło. Po tak oczywistej determinacji do sprzedania firmy jej nagły zwrot o 180 stopni musiał go zdziwić. Wiedziała, że należą im się jakieś wyjaśnienia, lecz sama nie była pewna, co okazało się decydującym czynnikiem. Patrząc wstecz, był to raczej stopniowy proces. Pogodzenie się z obowiązkami rodzinnymi; coś, czemu opierała się do momentu wizyty w restauracji. Tam stanęła z nim twarzą w twarz i nadszedł czas decyzji. Mark nadal obserwował ją uważnie, gdy odstawiła filiżankę.

— Oczywiście wiem, że musicie się zastanawiać, co zmieniło moje zapatrywanie na sprawę. — Spojrzała na nich niepewnie. — Prawdę powiedziawszy sama dokładnie nie wiem, co to było. Chyba bardzo szybko zorientowałam się, iż Paul Tregarth nie da żadnych gwarancji co do łąki i domków zajmowanych przez Joego oraz innych. Wątpię też, czy nawet gdyby je dał, zostałyby dotrzymane, jeśli przypomina sobie pani, starałem się do pani

wytłumaczyć — powiedział sucho Mark.

— Aż za dobrze sobie przypominam — przyznała

Tansy. — W każdym razie coraz mocniej do mnie docierało, że nie jest on właściwą osobą do przejęcia firmy.

— Czy mam z tego wnosić, że sama nie chce jej pani przejmować i szuka następnego kupca? — spytał Mark.

— Nie myślałam aż tak perspektywicznie — stwierdziła Tansy. — Ale tak, przypuszczam, że poszukam innego kupca. Czy to pana satysfakcjonuje, czy też nadal pan myśli, że powinnam sama przejąć rządy?

— Tego nigdy nie mówiłem — zaprotestował. — Byłem jedynie bardzo przeciwny sprzedawaniu Tregarthowi, wiedząc, co on zrobi z firmą. — Wypił łyk kawy. — W rękach troskliwego właściciela firma pozostanie nadal w obecnej formie, a tylko na tym mi zależy.

Tansy powtórnie zdała sobie sprawę, że Mark wcale nie pragnie, żeby przejęła firmę. Zastanawiała się, dlaczego. Czy obawiał się, by nie wtykała we wszystko nosa? Był szczęśliwy mogąc pracować u jej dziadka, który niewątpliwie trzymał wszystko silną ręką aż do momentu choroby. Czy działo się tak dlatego, że była kobietą? Spojrzała na niego w zamyśleniu.

— Nie sędzę, aby miał pan już upatrzonego innego kandydata? — spytała z wahaniem.

— To zależy od ceny — odparł. — Tregarth jest jedynym w okolicy człowiekiem dysponującym takimi pieniędzmi, o jakich pani by chciała usłyszeć. Chociaż... — Spojrzał na nią badawczo. — Wielu pracowników firmy byłoby zainteresowanych szansą utworzenia spółki do zarządzania tym miejscem, jeśli udałoby się nam zebrać odpowiedni kapitał.

— Och! — Tansy spojrzała na mężczyznę pytająco - Po raz pierwszy wspominał o czymś takim. Czy mogło to być po części powodem obiekcji wobec Tregarth? zastanawiała się? Czy jego szlachetne sentymenty nie były maską dla skrywanych ambicji? A może zamierza samodzielnie przejąć firmę. Zastanawiała się ponownie czy nie miał jednak nadziei, że Benson Whitton pozostawi majątek Heather. Była odległą krewną i równie jak on interesowała się tym miejscem. Świadoma, że oczekuje się od niej odpowiedzi, wzruszyła ramionami.

— Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia, które usatysfakcjonuje wszystkich — powiedział mu. — Czy mam o tym porozmawiać ze swymi prawnikami?

— Nie zaszkodziłoby — stwierdził. — Chyba że zdecyduje się pani sama objąć interes?

Ta uwaga zastanowiła ją. Co przez to rozumiał? Przed chwilą zdawało jej się, że właśnie tego najmniej by sobie życzył. Postanowiła go sprawdzić.

— A jeśli tak? — powiedziała wyzywająco. — Jakie byłoby pańskie zdanie?

— Byłbym całkiem zadowolony tak długo, jak pozostawiłaby mi pani wolną rękę w zarządzaniu, podobnie jak czynił pani dziadek — odparł.

A więc było tak, jak myślała wcześniej. Ona jako nominalna właścicielka i on zarządzający wszystkim...

— Przypuśćmy, że zdecyduję się przejąć firmę i mieć w niej bardziej aktywną rolę? — Spojrzała na niego wyzywająco.

Zmarszczył brwi.

— Zależy, co ma pani na myśli. Jeśli mówi pani poważnie i poważnie myśli o przeniesieniu się tutaj...

— By grać rolę pani na włościach? — przerwała mu. — Czy taką rolę pan dla mnie przewidział? Jeślibym się już tu przeniosła, to po to, by zapoznać się z tym interesem, a nie, by zabawić koło gospodyń przy herbatce w Lodge.

Na jego twarzy ujawniła się irytacja.

— Mówiłem tylko, że nie ma tu miejsca dla dwóch szefów; pani dziadek był tego świadom, a pani się o tym przekona.

Zerknęła na niego z powątpiewaniem. Wyraził się wystarczająco jasno. Proszę zostać, jeśli pani chce, ale proszę również nie wchodzić mi w drogę.

Nie mogła się oprzeć uczuciu, że pozostanie na Calanarze było ostatnią rzeczą, jakiej by chciała...

— Proszę nie sądzić, że Tregarth powiedział ostatnie słowo — oznajmił nagle. — On nie poddaje się tak łatwo. Zbyt długo czekał na zagarnięcie tej ziemi, by teraz ustąpić bez walki.

— Ale z pewnością niewiele może zrobić? — spytała Tansy.

— Być może nic legalnego — odparł.

— Co to ma znaczyć? — zapytała ostro.

— To znaczy, że już od jakiegoś czasu próbował nas zastraszyć — poinformował ją. — Możemy spodziewać się dalszego ciągu. Chociaż, kto wie? — Wzruszył ramionami. — Nie udało się z pani dziadkiem; być może fakt, że z panią też się nie uda, dotrze do jego świadomości i zostawi nas w spokoju.

Słuchając tego Tansy zdała sobie nagle sprawę, że gdyby nie Mark Harmon, miałaby o wiele poważniejsze obawy o przyszłość... Niespodziewanie uderzyła ją pewna myśl.

— A więc dlatego nie odbędzie się Whitton Lodge Garden Party, prawda? — spojrzała na Marka.

— Kto pani o tym powiedział? — Wyglądał na zdziwionego.

— Co nieco wymknęło się Heather dziś rano — wyjaśniła.

— Typowe! — Laura włączyła się do rozmowy z błyszczącymi oczami. — Heather nie przepuści żadnej okazji do popisania się swym talentem ogrodniczym. Ale z pewnością jest już zbyt późno, by próbować zorganizować zabawę. Wiem też, że kolejne soboty są zajęte przez inne imprezy lokalne.

— Ile pracy wymaga przygotowanie zabawy? — spytała Tansy.

— Zdziwiająco niewiele — przyznał Mark. — Jedzenie zapewnia obsługa z zewnątrz. Pomagają też inne organizacje. Oczywiście my zajmujemy się przygotowaniem i wystrojem. Różni ludzie przygotowują loterie. To przyjęcie przynosi naprawdę niezłe dochody.

— A więc je zrobimy — powiedziała stanowczo Tansy. — Loterię poprowadzę osobiście.

— Dobrze. — Mark wstał od stołu. — Wobec tego wracam do szklarni powiedzieć ludziom, by się wszystkim zajęli. Resztę na temat organizacji wie moja matka. Do zobaczenia później.

Ucałowawszy szybko matkę, opuścił pokój. Na twarzy Laury malowała się rezygnacja.

— Przygotowanie wszystkiego będzie wymagało pośpiechu — wymruczała.

— Im szybciej zaczniemy, tym lepiej — brzmiała odpowiedź.

Kolejnych kilka dni minęło niezwykle pracowicie. Sobota powitała wszystkich wspaniałą pogodą. Ludzie wstali wcześniej. Tansy dostrzegła ich, wyrzawszy przez okno na parterze Lodge. Przybyli też kelnerzy, którzy teraz rozstawiali swe wyposażenie. Pospieszyła, by dołączyć do Marka i jego matki, pragnąc mieć również jakiś wkład w sukces tego przedsięwzięcia. Nawet teraz nie była jeszcze pewna, czy organizowanie zabawy jest aż takie ważne. Wiedziała jedynie, iż jest nową właścicielką firmy i pragnie, aby wszystko działało się identycznie jak za czasów dziadka.

Ludzie zawieszali światła na drzewach na bal po przyjęciu i Tansy bardzo ucieszył ten widok. Dzień zapowiadał się wspaniale. Przybywali pracownicy firmy; wśród nich Heather, która uporczywie unikała

spojrzenia Tansy, sprawiając wrażenie, że żałuje zwierzeń uczynionych w czasie niedawnej podróży do miasta. Rozmawiała właśnie z Markiem i patrząc na nich Tansy nie mogła przeoczyć, jak bardzo blisko siebie stali. Szybko odwróciła wzrok, choć nie było to dla niej nic nowego.

Późnym rankiem całe otoczenie wypełniło się ludźmi. Wieści o zabawie rozeszły się szybko i skutecznie. Ludzie ścigali całymi tłumami. Dopiero wówczas Tansy pojęła, jak ważnym wydarzeniem w kalendarzu towarzyskim wyspy była ta impreza. Na kilku akrach zdawała się tłoczyć cała wyspiarska ludność. Tansy zaś, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zupełnie nieźle radziła sobie z loterią.

— Tansy, chciałam ci kogoś przedstawić. — Laura pociągnęła ją za ramię w kierunku grupki starszusków stojących w cieniu orzecha. Przyglądając się im, zauważyła kryjącą się w oczach wyspiarzy nieufność. Wiedziała, że dla wielu z nich nadal jest osobą z zewnątrz, tolerowaną zaledwie, zanim nie udowodni im swej prawdziwej wartości. Zastanawiała się, jak wielu z nich czeka na jej kolejne kroki w majątku odziedziczonym po dziadku. Teraz była już zupełnie pewna, że dobrze zrobiła, nie sprzedając go Paulowi Tregarthowi. Nie odezwał się od dnia, gdy odrzuciła jego ofertę i zaczęła mieć nadzieję, iż pogodził się z tą decyzją.

— Oto pani i pan Harold Parker, rodzice Heather — przedstawiła Laura.

— Jak się państwo macie? — Tansy uściśnęła im dłonie.

— A więc to pani jest wnuczką mego kuzyna. — Harold Parker przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem.

— Zgadza się — odparła. — Co państwo sądzicie o aranżacjach kwiatowych? Jak prawdopodobnie wiecie, większość z nich to dzieło Heather. Musicie być z niej bardzo dumni.

— Jest wyjątkowo utalentowana — przemówiła po raz pierwszy pani Parker. — Wiem, że Benson również tak myślał.

Tansy doznała uczucia, że ta uwaga miała na celu podkreślenie faktu jej obcości. Wyczuła też dystans mówiącej te słowa kobiety wobec niej. Ignorując własne uczucia, powiedziała miłym głosem:

— Proszę się dobrze bawić. Ja muszę wracać do loterii, więc jeśli państwo pozwolą...

Zauważyła dziwny wyraz twarzy Laury, gdy odchodziła. Jednak nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Choć rozmawiali w miarę serdecznie, było coś w panującej wokół atmosferze, co jej przeszkadzało. Była wnuczką Bensona Whittona, prawowitą właścicielką firmy. Jeśli

coś im się w tym nie podobało, to już nie jej wina. Ale nie da się traktować jak smarkula! Uczucie obcości zmaćliło na pewien czas jej spokój.

— Tansy, widziałaś Marka? — Laura wróciła do niej z wyrazem zmieszania na twarzy. — Jest mi potrzebny przy roślinach.

— Wydaje mi się, że widziałam, jak szedł do szklarni — odparła Tansy. — Rozejrzę się, jeśli na chwilę przejmiesz moje obowiązki. — Odchodząc odwróciła się do Laury powtórnie i spojrzała na nią przyjaźnie. — Przepraszam, jeśli zachowałam się nieodpowiednio przy Parkerach, Lauro — wymruczała. — To tylko... — Tu wykonała nieokreślony ruch ręką, nie chcąc jej urazić swą opinią o starszyczkach.

— Nic się nie stało. — Laura dotknęła lekko jej ramienia. — Byli nieco zbyt formalni, wiem. Spróbuj ich zrozumieć. Usiłują chronić Heather i, jak wielu innych na wyspie, nie zaufają ci, póki nie przedstawisz określonego planu przyszłości firmy.

— Rozumiem to — westchnęła Tansy. — Ale nie chciałabym, by tutejsi mieszkańcy traktowali mnie jak jakiegoś potwora. No cóż, zaraz wracam.

Odwróciła się i odeszła. Wchodząc do szklarni, znalazła się w ciszy. Mark i Heather stali w odległym końcu budynku i głośno rozmawiali oraz śmiali się, nieświadomi jej wejścia. Stojąc w cieniu drzwi i czekając, aż zostanie zauważona, Tansy doznała nagle uczucia zazdrości. Było im dobrze w swoim towarzystwie, co sprawiało, że poczuła się jeszcze bardziej obco. Nagle zdała sobie sprawę, co to jest, gdy zobaczyła, jak Mark patrzy w oczy Heather. Pomimo dzielących ich antagonizmów i jego wrogości wobec niej czuła, że zaczyna darzyć Marka zbytnią sympatią, a na to nie mogła pozwolić. Obserwując go teraz z Heather, nie potrafiła temu zaprzeczyć. Nadeszła pora na opuszczenie wyspy. Teraz się o tym przekonała. Pozostała tu zbyt długo, pozwalając rozwinąć się uczuciom, które nie mogły doprowadzić do niczego dobrego. Gdy ją spostrzegli, przemówiła niespokojnie:

— Mark, pańska matka prosi o więcej roślin. Odwróciwszy się szybko, wyszła na zewnątrz, nie czekając odpowiedzi. Wracając poczuła nagle, jak czyjaś dłoń łapie ją za ramię.

— Tansy? Poczekaj! To ja!

Obejrzała się na dźwięk znajomego głosu. Uśmiechał się do niej wystrojony i dziwnie wyglądający w tym otoczeniu David Firth.

Rozdział 5.

Tansy spojrzała na Davida i wszystkie inne myśli uleciały z jej głowy.

— Mogłabyś powiedzieć, że się cieszysz na mój widok — powiedział z wyrzutem, gdy nadal wpatrywała się w niego zdumiona.

— Przepraszam, Davidzie. — Uczyniła wysiłek, by wydobyć się z oszołomienia. — Oczywiście, że cieszę się z twego przybycia. Po prostu bardzo mnie zaskoczyłeś! Jesteś ostatnią osobą, której bym się spodziewała. — Pokręciła głową. — Co tutaj robisz? Dlaczego nie powiadomiłeś mnie o przybyciu?

Wzruszył ramionami.

— Poddałem się impulsowi i nie miałem czasu, jeśli chciałem zdążyć na prom. A pragnąłem jedynie cię zobaczyć. Spodziewałem się, że do tej pory będziesz już w domu.

— To wszystko trwa dłużej, niż przewidywałam — wyjaśniła Tansy.

— Och? A ten facet, któremu chciałaś to sprzedać? Z pewnością miałaś już czas się z nim dogadać? — spytał David.

— No cóż, zaszły pewne komplikacje — przyznała.

Unióśł brwi.

— Jakie komplikacje? Co tu się w ogóle dzieje? —

Wskazał wokół. — Spodziewałem się raczej przygotowań do sprzedaży, a zastaję jakieś święto...

— To Whitten Lodge Garden Party — wyjaśniła Tansy. — Odbywa się corocznie na rzecz miejscowego rezerwatu.

— Wielkie nieba! — powiedział, a jednak w jego oczach czaiło się coś innego. — Zaangażowałaś się w lokalne życie, podczas gdy ja myślałem, że to tylko krótka wizyta! Czy widziałaś się z tym, jakże mu tam, Tregarthem?

— Tak, widziałam się z nim — potwierdziła Tansy. — Ale nie możemy dyskutować o tym tutaj, Davidzie. — Rozejrzała się wokół, zauważając, że ludzie przypatrują się im z zaciekawieniem. Przypomniła sobie również własne próby skontaktowania się z Davidem przed paroma dniami. Zupełnie o tym zapomniła, pochłonięta innymi rzeczami. Ostatnich kilka dni minęło bardzo szybko i teraz uświadomiła sobie, jak bardzo zaangażowała się w życie na wyspie, spychając wszystkie inne sprawy na bok.

Zapomniła o wyjeździe, odkładając decyzje na nieokreślony termin po przyjęciu. Pojawienie się Davida spowodowało powrót myślni do tego wszystkiego.

— Próbowałam się z tobą skontaktować, ale były jakieś problemy z linią — powiedziała.

Wzięła ją za ramię i skierowali się oboje ku stolikom z napojami i jedzeniem.

— Tak. Muszę cię za to przeprosić — mruknął. — Sprawa polega na tym, że zadzwoniłaś w nieodpowiednim momencie...

Tansy spojrzała na niego zdziwiona. A więc jednak miała rację!

— Odwiesiłeś słuchawkę? — zapytała. Uczynił przeproszający gest.

— Tansy, w mieście działy się różne rzeczy, podczas gdy ty tu odpoczywałeś...

— Właśnie zamierzam stąd wyjechać! — Odsunęła się od niego wzburzona. — Co takiego się działo? I dlaczego odłożyłeś słuchawkę?

Zwlekał z odpowiedzią, nie patrząc jej w oczy.

— Mike Hollingworth ma pewne pomysły — powiedział w końcu. Wskazał jej miejsce, sam siadając naprzeciw i rozglądając się wokół, jakby w poszukiwaniu kelnera.

— Tutaj obowiązuje samoobsługa — mruknęła Tansy. — Nie mogę siedzieć z tobą zbyt długo, Davidzie. Prowadzę loterię.

— Loterię? — Spojrzał na nią pytająco, a ona odwróciła głowę zażenowana.

— To przyjęcie dobroczynne — wyjaśniła.

— No cóż, a zatem... — Wzruszając lekceważąco ramionami ruszył, by wybrać coś ze stołu, a Tansy czekała niecierpliwie dopóty, dopóki nie wrócił z dwiema szklankami kawy.

— Jakież to pomysły ma Mike Hollingworth? — spytała, gdy postawił kawę na stole obok. Wspomnienie nazwiska szefa agencji zaniepokoiło ją. Nie darzyli się zbyt dużą miłością. Metody tego biznesmena często przyprawiały ją o ból głowy. David zdawał się nad czymś zastanawiać.

— Chce odsunąć cię od sprawy Loder? — powiedział w końcu.

— Chce mnie odsunąć? Ale dlaczego? — Tansy spojrzała na niego bezradnie. — Przecież dotąd tak dobrze mi szło.

— Wiem o tym — zgodził się David. — Ale wiesz, że on jest skłonny powierzać ważniejsze sprawy mężczyznom.

Tansy doskonale o tym wiedziała. Starła się ze wszystkich sił zaskarbić przychylność Mike'a, a jednak i tak nie była do końca go pewna. Rumieńce wstąpiły na jej policzki. A więc zaczekał, aż ona zniknie z pola widzenia, a potem się jej pozbył!

— Dlaczego? — Bezradnie spojrzała na Davida.

— Oboje wiemy, co to za człowiek — zamruczał David. — Nigdy też nie udawał anioła.

Musiała przyznać, że była to prawda. Praca dla Mike'a Hollingwortha oznaczała trzymanie się na baczności w każdej porze dnia. Wiele razy zastanawiała się nad zmianą pracy, a jednak nic w tym kierunku nie zrobiła.

— Czy podaje jakieś powody odsunięcia mnie od tej sprawy? — spytała z ciekawością. — I co to ma wspólnego z twoim unikaniem rozmowy ze mną... — przerwała uderzona nagłym podejrzeniem potwierdzonym faktem, że David nadal unikał jej wzroku. — Przekazuje tę sprawę tobie, tak? — zapytała cicho.

— W zasadzie nikomu jej jeszcze nie przekazał. — Zrobił unik David. — Czynił tylko pewne uwagi. Ale chyba ja mam być tą osobą, to prawda. W końcu zajmowałem się wszystkim podczas twojej nieobecności.

Tansy odwróciła wzrok. A więc to kryło się za niemożnością skontaktowania się z Davidem owego dnia!

— A czy ty weźmiesz tę sprawę, Davidzie? — spytała w końcu.

Westchnął.

— Jeśli nie ja, to zrobi to ktoś inny — bronił się. — Pomyśl, Tansy... — sięgając przez stół ujął jej dłoń i spojrzał jej w oczy. — Miałem dylemat, zastanawiając się nad optymalnym rozwiązaniem. Dlatego nie chciałem z tobą rozmawiać, zanim wszystkiego nie przemyślałem.

— A teraz, kiedy już wszystko przemyślałeś — Tansy cofnęła swą dłoń — chcesz zadać mi cios w plecy?

David wyglądał na zażenowanego.

— Właśnie ci tłumaczyłem; on z pewnością zabierze ci tę sprawę. Co za różnica, kto ją skończy?

Niesamowita różnica — pomyślała Tansy boleśnie, jeśli ktoś, kogo uważała za przyjaciela, decyduje się odebrać jej coś, co należy się właśnie jej...

— On nie może mi zabrać tej sprawy — powiedziała w końcu. — Nie może mi jej zabrać, gdyż prowadzę ją właściwie.

— On jest szefem — przypomniał jej David. — Może zrobić to, na co ma ochotę.

Tansy odwróciła wzrok. Nagle poczuła się, jakby usunięto jej grunt spod nóg. Najbardziej bolała ją zdrada Davida. Tak właśnie to wyglądało, pomimo prób usprawiedliwienia z jego strony. Zawsze potrafił usprawiedliwić swe działania, choć w przeszłości zwykle

przesłaniał to jego czar. Teraz czar ten nieco przyblakł... Odgadując jej myśli, David przemówił:

— Daj spokój, Tansy. W końcu przybyłem tutaj, by cię ostrzec. To z pewnością liczy się na moją korzyść! Musisz szybko wracać do biura. Hollingworth nie wykonał jeszcze żadnego ruchu. Na razie zaledwie głośno myśli i udziela pewnych wskazówek. Ale nie ma czasu do stracenia. W niedzielę nie kursuje prom, więc musimy odpłynąć dziś wieczorem. Czy jesteś w stanie uwinąć się tak szybko?

Tansy przyznała sobie w duchu, że tak. Pozostawało jedynie pytanie, czy tego chce. Czy warto było walczyć o pracę na takich warunkach. Praca dla Mike'a Hollingwortha zawsze była trudna, jednak do tej pory to wyzwanie budziło w niej entuzjazm. Teraz, w obliczu nieuczciwego traktowania, straciła do niej cały zapał. Wiedziała, kim jest jej szef; człowiekiem o niewielu złudzeniach i prawie całkowicie pozbawionym moralności. Ale o Davidzie myślała jako o przyjacielu, a teraz wydawało się, że przyjaźń ta nic nie znaczy, gdy w grę wchodzi ambicje. Przybył, by ją ostrzec, to prawda. Tak jak powiedział, sprawa mogła zostać przekazana komuś innemu, jeśli by odmówił. A jednak na jego miejscu zaraz by odmówiła i postawiła sprawę jasno, mówiąc Mike'owi Hollingworthowi, co o tym myśli.

— Będzie pewnie czekał na twe przybycie z podjęciem decyzji — ponaglał David. — Nie zrobi też nic podczas weekendu. Jeśli zjawisz się w biurze w poniedziałek rano...

Tansy skinęła głową. Teraz, gdy mijał szok, wpadła w gniew. Oczywiście, że musi wrócić, by walczyć swoje. Była to winna samej sobie. Przez chwilę miała szaloną ochotę pobiec do Lodge, szybko się spakować i wrócić na łód, by stanąć twarzą w twarz z szefem, A jednak impuls ten szybko zniknął. Nie mogła tak nagle opuścić garden party.

— Tansy? — David spojrzał na nią pytająco. — Czy jedziemy?

Potrząsnęła głową.

— Nie mogę tak po prostu wyjechać. Nie mogę zostawić tych ludzi.

— Radzili sobie doskonale, zanim tu przybyłaś. — W głosie Davida zabrzmiała nuta cynizmu. — Myślę, że to dobrze, iż się tu zjawiłem. To miejsce rzuca na ciebie jakiś czar!

Tansy musiała przyznać mu rację. Zatrzymywał ją tutaj dziwny zew. Ludzie również zaczęli ją akceptować. Zmienił się nawet stosunek Heather do niej. Ci wyspiarze byli na swój sposób uczciwi, czego nie mogła powiedzieć o Davidzie. Nawet Mark Harmon, od początku

przeciwny jej planom, otwarcie wyraził uczucia. David z pewnością był świadom tych przemyśleń i martwiły go one.

— Sądziłem, że docenisz to, że przybyłem na ten koniec świata, by powiedzieć ci co się dzieje w domu.

— Mogłeś mnie powiadomić, gdy dwukrotnie dzwoniłam do ciebie kilka dni temu — odparła Tansy. — Jeśli naprawdę byś się troszczył, nie musiałbyś aż tak długo nad tym myśleć. — Jej głos drżał. — W każdym razie teraz nie mogę wyjechać, nie dzisiaj. Być może w poniedziałek...

— W poniedziałek może być za późno — przerwał jej David.

— Więc ty jedynie na tym zyskasz, prawda? — Spojrzała na niego z wyrzutem. — Przyjechałeś tutaj i ja to doceniam, lecz jeśli jesteś ze mną szczerzy, przyznaj, że zrobiłeś to jedynie dla własnego spokoju, czyż nie? David zacisnął usta.

— Okay, ja...

— Przepraszam, że przeszkadzam. — Za plecami Tansy rozległ się głos Marka Harmona, który podszedł do nich niepostrzeżenie. — Właśnie kończy się konkurs zwierząt domowych przyniesionych przez dzieci i moja matka zasugerowała pani udział w jury, Tansy.

— Och — zdziwiła się przyjemnie — z ochotą, Mark. To mój przyjaciel i kolega z pracy, David Firth. David, poznaj Marka Harmona.

— Bardzo mi miło — powiedział z wyszukaną uprzejmością Mark.

David lekko skłonił głowę, siłąc się na minimum dobrych manier, zanim znowu zwrócił się do Tansy.

— Będę na promie dziś wieczorem, Tansy. Zobaczymy się tam, jeśli zdążysz otrzepać błoto z butów i wydostać się z tej przerośniętej łąki, którą nazywasz wyspą.

Tansy poczuła się zaszokowana. Nigdy nie słyszała Davida mówiącego w ten sposób i wyczuwała, że postępuje tak celowo, by zwrócić być może uwagę na różnice pomiędzy Calanarą a stałym lądem.

— Być może, gdyby znalazł pan nieco czasu na rozejrzenie się po wyspie, ujrzałby pan tu nieco więcej — stwierdził Mark miłym głosem. — To wspaniała okolica i ujmujący ludzie...

— Proszę oszczędzić mi uwag jak z przewodnika — warknął David.

Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy wyzywająco.

— Zapraszamy do pozostania na garden party — powiedziała Tansy, chcąc uniknąć konfrontacji pomiędzy nimi. — Ale jeśli nie chcesz, zrozumieć to.

— Widziałem już aż za dużo! — odparł David. — Zobaczymy się później na promie. Bądź tam Tansy... dla swego własnego dobra!

— No cóż! — Ton Marka był refleksyjny, gdy spoglądał za odchodzącym Davidem. — O co w tym wszystkim chodziło?

— Denerwuje się, że nie chce z nim wyjechać — Tansy zastanawiała się, dlaczego usprawiedliwia Davida. — Mamy pewien problem w biurze.

— Dlaczego zatem nie pojedzie pani z nim? — zapytał Mark.

Tansy wzruszyła ramionami.

— Nie mogę tak po prostu odejść...

Przez moment w oczach Marka pojawił się dziwny błysk.

— Więc proszę na razie o tym zapomnieć — powiedział cicho. — Dzieciaki czekają. Proszę jedynie, by nie wybrała pani ponownie zwierzaka Sally. Ona wygrała już trzy razy i będziemy mieli rozruchy, jeśli wygra ponownie w tym roku!

Jego rzeczowy ton podziałał na Tansy uspokajająco. Pozwoliła zaprowadzić się do namiotu, gdzie się odbywał konkurs. A jednak jeszcze przez jakiś czas myślała o Davidzie. Nie mogła się powstrzymać od porównywania jego samolubstwa z lojalnością Marka Harmona wobec jej dziadka, nawet po śmierci staruszka. Była pełna obaw o przyszłość, a zarazem wściekła na Mike'a Hollingwortha. Jakże typowe było takie traktowanie jej podczas nieobecności w firmie! David miał rację co do jednego. Musiała wybrać się na łód najszybciej, jak to było możliwe, by bronić się przed taktyką pracodawcy. Nie mogła sobie również pozwolić na oczekiwanie do poniedziałku. Po tańcach na wolnym powietrzu, które miały trwać cały dzień, będzie musiała wybrać się na prom. Jej prawnicy mogli przejąć negocjacje z zainteresowanymi stronami, a ona sama zapomnieć o Calanarze. Zrobiła to, czego chcieli, odmówiła sprzedaży firmy Paulowi Tregarthowi. Czego jeszcze mogli od niej oczekiwać? Miała swe własne życie. Odnosiła wrażenie, że im dłużej tu pozostanie, tym trudniej będzie jej odejść. A jaki to miałyby sens? Nie należała do tego miejsca. To, co zaczęło się jako krótka wizyta, przerodziło się w interludium; przyjemne, lecz dalekie od jej codziennych spraw. Instynktownie lubiła na ogół ludzi, z którymi nawiązała kontakty. W przypadku Marka Harmona uczucie to musiało narastać dłużej. Obserwując go teraz, słuchającego w skupieniu z pochyloną głową zwierzeń małej dziewczynki na temat jej zwierzaka, Tansy uświadomiła sobie, że jej uczucie do tego mężczyzny mogło jedynie rosnąć, by skończyć się kłopotami sercowymi, jeśli pozostanie na wyspie. To słabe początkowo uczucie skryształizowało się zupełnie, gdy stała przy drzwiach szklarni i obserwowała bliskość między Markiem a

Heather. Pojawienie się Davida zepchnęło wszystko na jakiś czas na bok, ale teraz myśli te wróciły ze zdwojoną siłą. Ci oboje wydawali się tak zadowoleni z bycia z sobą. Reakcja na widok tego zaskoczyła ją samą. Teraz zastanawiała się, czy przybycie Davida na wyspę nie poczyniło więcej dobrego, niż początkowo oceniła. Nawet jeśli nie istniała konieczność natychmiastowego powrotu do biura, fakt ten przypomniawszy jej, że należała do innego świata.

Reszta popołudnia minęła niezwykle pracowicie, dzięki Bogu nie pozostawiając jej czasu na roztrząsanie własnych problemów. Później przebrała się na tańce, przy okazji pakując swe rzeczy, by móc szybko wyjechać, gdy nadejdzie czas. Około siódmej zaczęli znów przybywać ludzie, wśród nich Heather i jej rodzice. Mark wyszedł im na spotkanie, a jego śmiech przemieszany ze śmiechem Heather jeszcze bardziej przygnębił Tansy. Muzyka brzmiała teraz delikatnie, ludzie wychodzili na parkiet. Mark i Heather także. Gdy Mark poprosił ją później do tańca, nie wiedziała, czy zrobił to z grzeczności, czy też z prawdziwej ochoty.

— To śliczna uroczystość — skomentowała rozglądając się wokół. — Musi być wydarzeniem towarzyskim roku.

— Nie sądzę — odparł. — Chociaż wydaje mi się, że wszystkim się bardzo podoba. Uzyskujemy również pieniądze na rezerwat, co nie jest bez znaczenia. Jednak prawdziwa walka rozegra się na wystawie kwiatowej w sierpniu. Ale pani już wtedy tutaj nie będzie, prawda? — zakończył zagadkowo.

— Nie — potrząsnęła głową. — Pańska matka mówiła już chyba panu, że zdecydowałam się wyjechać dziś wieczorem.

— Mówiła — oznajmił w zamyśleniu. — To dość nagła decyzja, jak mi się wydaje. Mówiła pani coś o problemach w biurze. Czy dlatego właśnie pani nas opuszcza?

Skinęła głową zadowolona, że ma szansę wyjaśnić swój raptowny odjazd.

— Szef mojej agencji próbuje odsunąć mnie ód pewnej sprawy i powierzyć ją komuś innemu — wyznała. — Ciężko nad nią pracowałam i nie zamierzam patrzeć na coś takiego obojętnie.

— Zgadzam się z panią — powiedział Mark. — A tak przy okazji, komu zamierza powierzyć tę sprawę?

To pytanie zaskoczyło Tansy. Cóż mogło go to obchodzić. Nie znał żadnego z jej kolegów poza Davidem. Może zdał sobie sprawę, że właśnie tu tkwiło sedno sprawy? Spojrzawszy w górę dostrzegła podejrziwość w jego oczach.

— To on, prawda? — zapytał delikatnie, gdy nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi.

Niechętnie skinęła głową. Przez moment nic nie mówił, a jednak trzymające ją ramię zdało się zacisnąć mocniej na moment, a w oczach mężczyzny dostrzegła sympatię przemieszana z gniewem.

— Przybył, by mnie ostrzec i zaproponować jak najszybszy powrót — powiedziała w końcu.

— Proszę nie próbować go bronić — odparł krótko. — Przyjechał tylko, by oczyścić sobie drogę; przekonać panią, że przejęcie przez niego sprawy jest nieuniknione.

Tansy patrzyła ze zdziwieniem. Podejrzewała Davida o to samo. Jednak nie sądziła, że Mark aż tak dobrze zorientuje się w sytuacji.

— On jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem, by przejąć sprawę — powiedziała. — Podczas mojej nieobecności właśnie on ją prowadził.

— Jest pani bardzo łatwowierna, czy zdaje sobie pani z tego sprawę? — Mark patrzył na nią dziwnym wzrokiem. — Nie tylko zresztą w tym przypadku. Uwierzyła pani również z góry w to, co mówili rodzice i potępiła dziadka bez próby poznania racji drugiej strony.

— Myliłam się — przyznała Tansy. — Powinna być jednak domyślić, że za całą sprawą kryje się coś więcej. Być może nie mogę się po prostu przestawić na inne myślenie.

— Gdyby tak było, zjawiłaby się pani na wyspie wcześniej — stwierdził Mark. — A teraz z kolei pani odjeżdża. Czy wróci tu pani, gdy już się pani ze wszystkim upora?

Tansy pokręciła głową:

— Nie mam powodu, aby tu wracać — powiedziała cicho.

Przez moment nic nie mówili, choć wyczuła, że Mark przyciska ją do siebie mocniej.

— Być może przeoczyła pani jakiś powód? — wyszeptał w końcu.

Tansy zastanawiała się, co przez to rozumiał. Patrząc na niego próbowała wyczytać coś z twarzy. Czy chciał powiedzieć coś niekonwencjonalnego, czy kryło się za tym coś więcej? Jakiż mogła mieć powód, by wracać na Calanarę? Nie była częścią tej wyspy, a jedynie kimś z zewnątrz. A jednak dostrzegła nagle, że ma więcej wspólnego z wyspiarzami niż z Davidem Firthem czy jemu podobnymi. Wyspiarze powoli akceptowali obcych, lecz gdy już to uczynili, można było być pewnym ich lojalności i przyjaźni.

— Po pierwsze, pani poszukiwania przyrodniego brata czy siostry — powiedział nagle Mark. — Przykro mi, że nie posunąłem się w tym naprzód. Jakbym stanął przed jakąś ścianą. — Spojrzał na nią. — Czy nie chce pani rozsupłać tej małej tajemnicy?

— Oczywiście, że chcę! — odparła Tansy. — Ale po prostu nie wiem, od czego zacząć. Jeśli na świadectwie urodzenia było nazwisko mojego ojca, być może zdołam coś wytropić po powrocie na ląd.

— Jeśli było — mruknął Mark. — Odwrócił się plecami od tej dziewczyny, proszę o tym nie zapominać. Nie byłbym zaskoczony na wieść, że Benson Whitton poprosił ją o umieszczenie swego nazwiska w księdze. Bez tego będziemy błądzić w ciemnościach. Ktoś na tej wyspie wie, co stało się z dzieckiem — kontynuował. — Ale odnalezienie tych ludzi zabierze nieco czasu.

Czas był właśnie tym, czego Tansy brakowało.

— Dam pani znać, jeśli się czegoś dowiem — powiedział po chwili patrząc na nią. — Obiecuję to, cokolwiek stanie się z firmą.

— Wiem, że pan tak robi — stwierdziła ku własnemu zdziwieniu.

Taniec dobiegał końca. Mark zaprowadził ją na plac, gdzie siedzieli Harold Parker i jego żona. Sama Heather była zajęta rozmową z Laurą kilka jardów dalej, lecz Mark pozostał przy Tansy.

— Miło tu, prawda? — Harold Parker uśmiechnął się w kierunku Tansy, a ona uczyniła wysiłek, by okazać się równie serdeczną.

— I pomyśleć, że wszystko było robione na ostatnią chwilę — skomentowała jego żona. — Mark i Heather naprawdę się nad tym napracowali.

Tansy wiedziała, że staruszka celowo łączy Marka z Heather, pomijając wkład jej i Laury.

— Och, tak, oczywiście — mruknęła. Już rano wyczuła niechęć tej kobiety do siebie. Pomoc nadeszła niespodziewanie ze strony Marka.

— Panna Forester pracowała ciężiej niż ktokolwiek, by impreza odniosła sukces. — W jego głosie kryła się dezaprobatą dla przeciwnej opinii. — Tak się składa, że prowadzona przez nią loteria dalece przekroczyła nasze oczekiwania co do efektów. Każdy chciał przyjrzeć się jej z bliska.

— Dlaczegoż by nie? — wtrącił się elegancko Harold Parker. — Jest bardzo atrakcyjną kobietą.

Tansy posłała mu wdzięczne spojrzenie. Po niechętnych komentarzach żony jego słowa podniosły Tansy na duchu.

Właśnie zbliżała się do nich Heather i Mark zwrócił wzrok w jej kierunku.

— Zatańczymy, Heather? To znaczy, jeśli pozwolisz, Tansy?

— Nie krępujcie się — wymusiła uśmiech. W końcu przedtem tańczył z nią jedynie z obowiązku. Patrzyła, jak wraz z Heather odchodzą na parkiet.

— Tak wspaniale wyglądają razem, prawda? — mruknęła pani Parker.

Tansy zignorowała starszkę żalując, że Mark postawił ją w niezręcznej sytuacji. Będzie jednak tolerowała jej uwagi tak długo, jak wymaga tego grzeczność, nim usprawiedliwi się, by odejść.

— Jest taka utalentowana — usłyszała jej głos. — Oczywiście mam na myśli nie tylko ogrodnictwo. Jest artystką; w domu mamy na ścianach kilka jej szkiców. Może będzie miała pani czas przyjść i obejrzeć je przed wyjazdem.

Tansy uchwyciła przepaszające spojrzenie Harolda Parkera. Był świadom, że jego żona próbuje zawstydzić swoją rozmówczynię. Uśmiechnęła się do niego w podzięcie. Wiedziała, że to nie jego wina.

— Wszyscy oczekują ogłoszenia zaręczyn Marka z Heather już wkrótce — dodała sprytnie jego żona.

Tansy zagryzła zęby, tracąc cierpliwość. Normalnie nie miałyby kłopotów, by zignorować tę kobietę, ale po długim i pełnym nieprzyjemnych niespodzianek dniu nie była w nastroju na subtelne spory. Męczyła ją ta sytuacja. Spoglądała na przytulonych do siebie Marka i Heather. Cóż jednak miało to wspólnego z nią? Mark wyraził jasno swą opinię o niej. Chociaż jego wrogość wydawała się zanikać, traktował ją teraz wyłącznie jak szefa. Świadomość tego stała się nagle bolesna. Nie była również przygotowana na taką reakcję spowodowaną widokiem Marka i Heather przytulonych do siebie. Dlaczego pozwalała rozwijać się tym śmiesznym uczuciom?

— Benson był również wspaniałego zdania o niej — przemówiła powtórnie pani Parker.

Czy ona nigdy się nie poddaje, pomyślała zirytowana Tansy? Co chciała osiągnąć poprzez swe docinki? Sytuacja była jasna. Odwracając się, stwierdziła bardziej stanowczym głosem, niż zamierzała:

— Rozumiem, pani Parker, Heather jest cudowna pod każdym względem. Nie musi się pani martwić, moje związki z Markiem mają wyłącznie służbowy charakter.

Kobieta wyglądała na zaszokowaną.

— Chciałam jedynie...

— Wiem, czego pani chciała — przerwała jej Tansy. Owładnął nią gniew; ślepy, nieodparty gniew. — Wyraziła się pani wyjątkowo jasno. Bez Heather ten interes zawaliłby się już wiele lat temu. Co za szkoda, że dziadek zostawił go mnie, a nie jej. Ale obawiam się, że jest coś, na co nie może pani nic poradzić — powstrzymała się nie chcąc zabrnąć zbyt daleko. To, co powiedziała, brzmiało nieprzyjemnie w jej własnych uszach i wstydziła się tego teraz. Powinna być ponad zaczepki tej kobiety i rozumieć ukryty za nimi strach.

— Przepraszam — wyszeptala. — Nie powinnam była tego mówić.

Rozejrzała się wokół, szukając drogi ucieczki. Pod wpływem strachu o pracę i widoku przytulonych do siebie Marka i Heather traciła kontrolę nad sobą i mówiła rzeczy, których potem będzie żałowała. Spojrzawszy na panią Parker zobaczyła, że ta czerwienieje ze złości.

Wyciągnęła dłoń i chwyciła Tansy za ramię.

— Tak, to szkoda, że nie zostawił firmy Heather; zasługiwała na to! — wyrzuciła z siebie. — Po tym jak potraktowali ją pani rodzice, zostawiając ją z niczym! A teraz pani, jego córka, próbuje odebrać jej tego mężczyznę...

— Maud! — wtrącił się gwałtownie Harold Parker. — Wystarczy!

Nie słyszała, jak to mówił. Gniew opuścił ją równie nagle, jak się zjawił, zmieniając się w zaskoczenie. Tansy wpatrywała się w kobietę i próbowała zrozumieć znaczenie jej słów. Coś cisnęło jej się do głowy, lecz nie mogła tego uchwycić. Co mieli wspólnego z Heather jej rodzice? Co miała na myśli pani Parker, mówiąc, że zostawili ją z niczym? Nie mogli nawet jej znać, była dzieckiem, gdy opuszczali wyspę, jeśli w ogóle wówczas była na tym świecie.

— Pani Parker — powiedziała niepewnie dotykając ramienia kobiety — jest mi przykro z powodu tego, co powiedziałam, proszę mi wybaczyć. Nie staram się w żaden sposób skrzywdzić Heather...

W oczach kobiety pojawiła się ulga, która na moment zdziwiła Tansy.

— Nie musi pani przepraszać, to ja powiedziałam zbyt wiele.

Zdenerwowanie staruszki nie pozostawiało wątpliwości. Czyżby myślała, że będę odgrywała się teraz na jej córce, zastanawiała się Tansy? Harold Parker patrzył na nią teraz i w jego oczach dostrzegła to samo, co w oczach żony. Dlaczego? Z pewnością nie uważali jej za aż tak perfidną osobę. I dlaczego pani Parker wycofała się tak szybko? Było jasne, że żałowała swego wybuchu, a jednak Tansy wyczuwała za tym coś więcej. Wróciła pamięcią do tego, co usłyszała. „Jego córka”, tak właśnie wyraziła się o Tansy. Dlaczego ta kobieta tak nienawidziła jej

ojca? W jej głosie kryło się coś więcej. Głęboka gorycz, której nie mógł złagodzić nawet czas. Co takiego mógł uczynić jej ojciec, by wyrażać się o nim w ten sposób? Tansy na moment wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy przypadkiem Maud Parker nie jest porzuconą przez niego kobietą. Czy było to możliwe? Natychmiast odrzuciła ten pomysł. Tamta kobieta wyjechała za granicę i wyszła tam za męża, jeśli wierzyć temu, co pisała w liście jej matka. Z pewnością nie powróciłaby tutaj po porzuceniu dziecka. Wreszcie wszystkie poznane fakty zaczęły układać się w całość. Heather, tak bliska jej wiekiem; jej wspomniany talent malarski. Tansy spojrzała na parkiet, szukając wzrokiem Heather i Marka. Heather śmiała się przytulona do ramienia swego mężczyzny, a Tansy wreszcie odgadła prawdę, zdumiona, jak wcześniej mogła jej nie pojmować. Nagle wszystko wydało się tak jasne. Parkerowie — kuzynostwo Ben-sona Whittona, bezdzietna para, a teraz starzejący się rodzice. Wytłumaczyła też sobie wrogość pani Parker. Pozostawało jedynie wyciągnąć wnioski, a starczył na to jeden rzut oka na wyraz twarzy Harolda Parkera. Dziecko, które przed laty porzucił jej ojciec, miała przed sobą. Heather Parker, kobieta, którą przedstawiono Tansy jako odległą kuzynkę, była w rzeczywistości o wiele jej bliższa. Była jej przyrodnią siostrą...

Rozdział 6.

— To Heather, prawda? — przemówiła niepewnie Tansy. — To dziecko mojego ojca, to była Heather, prawda?

— Nie! Pani się myli. — Maud Parker uczyniła beznadziejną próbę naprawienia szkód wyrządzonych własną porywcznością, lecz było już na to zbyt późno, o czym doskonale wiedziała. Odwróciwszy się, spojrzała na męża, który odwzajemnił bezradne spojrzenie. Tansy gapiła się na Heather, nadal nie bardzo rozumiejąc nagły rozwój wypadków. Ani przez moment nie przyszło jej do głowy, że dziecko, którego tak uporczywie szukała, znajdowało się tak blisko przez cały czas. Dziwiła się, jak mogła to przegapić. Jej dziadek musiał wybrać do tego celu zaufanych ludzi; ludzi, którzy z pewną dozą prawdopodobieństwa mogli mieć własne dziecko.

— Proszę, ona o tym nie wie... — Harold Parker uchwycił jej ramię i musiała na niego spojrzeć.

— A zatem to prawda? — zapytała niepewnie. — To Heather?

Niechętnie skinął głową.

— Wychowaliśmy ją jak własne dziecko — mruknął. — Nie sądziliśmy, że kiedykolwiek wyjdzie to na jaw_ — Spojrzał z wyrzutem w kierunku żony.

— Dlaczego jej nie powiedzieliście? — spytała zdziwiona Tansy. — Mogliście się domyślać, że sprawa wyjdzie na jaw wcześniej czy później! Poza tym ona miała prawo wiedzieć.

— Benson zmusił nas do przyrzeczenia, że tego nie zrobimy...

— Nie miał racji! — przerwała nagle Tansy. — Nikt z was nie miał racji!

Nawet teraz wydarzenia ostatnich chwil galopowały w jej pamięci wraz z falą szoku. Heather Parker — jej przyrodnią siostrą! Teraz było to takie łatwe do zrozumienia. Stosunek Bensona Whittona do Heather, zapewnienie jej edukacji, posłanie do najlepszej szkoły ogrodniczej w okolicy, gdy dostrzegł w niej talent do tej pracy, nie były jedynie wynikającymi z dobroci serca gestami krewnego czy przełożonego. Przejął on obowiązki wobec dziecka jeszcze przed jego narodzeniem i nie zaniedbał ich z czasem. Tansy bezradnie pokręciła głową. A więc jej próby odnalezienia przyrodniego brata lub siostry zakończyły się tak szybko i niespodziewanie, tuż przed planowanym wyjazdem z wyspy! Ogarnęła ją przemożna ochota przebiegnięcia przez parkiet do Heather i opowiedzenia jej całej historii. A jednak powstrzymała się. Byłby to dla

dziewczyny równie mocny szok jak dla niej, więc należało postępować ostrożnie. Teraz przyjrzała się uważnie jej twarzy w poszukiwaniu rysów ojca i poczuła się zawiedziona nie znajdując żadnych.

Maud Parker odwróciła się i odeszła niezauważenie, a mąż podążył za nią. Tansy nadal patrzyła na Heather śmiejącą się teraz do Marka. Intensywnie myślała. Musiała jej to jakoś powiedzieć; musiała powiadomić Heather.

Muzyka ustała. Tansy usłyszała, jak Laura woła Heather, która odwróciła się i poszła w jej kierunku. Mark miał już iść za nią, spojrzał jeszcze na Tansy i zauważył, że obecnie stoi sama na uboczu. Po odprowadzeniu Heather do matki, ruszył w kierunku Tansy. Patrząc, jak podchodzi, walczyła z ochotą, by wyjść mu naprzeciw, a jednak zmusiła się do zachowania spokoju.

— Mark — powiedziała z trudnością, gdy się zbliżył i spojrzał na nią zafrapowany.

— Coś nie tak? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha! — Nieomal roześmiała się słysząc to.

— Mark. — Dotknęła dłonią swego policzka, by złagodzić podniecenie. — Muszę z panem porozmawiać.

— Dobrze, proszę mówić — zaproponował, siadając obok.

— Nie, nie tutaj...

Wstając z krzesła przeszła w kierunku drzew na skraju polany, a on podążył za nią.

— To robi się bardzo tajemnicze — skomentował spoglądając na nią pytająco, gdy stanęli na uboczu, kilka jardów od parkietu.

— Mark. — Patrzyła na niego płonącymi z podniecenia oczami. — To dziecko, moja przyrodnia siostra, to Heather!

— Heather? — Spojrzał na nią podejrzliwie. — Jak pani do tego doszła?

— Jej matce wymknęło się co nieco, a gdy oboje ich o to spytałam, wyznali wszystko — odparła Tansy łamiącym się głosem. — Jak o tym pomyśleć, wszystko układa się w spójną całość. Ona jest mniej więcej w moim wieku, a Parkerowie to starsza para, kuzynostwo mojego dziadka. Cóż bardziej naturalnego, jak pozostawić dziecko właśnie im? Mieszkają po drugiej stronie wyspy, z dala od szklarni, gdzie ludzie mogli nie słyszeć o tym skandalu.

— Trudno mi w to uwierzyć — mruknął Mark. — Czy jest pani pewna, że Parkerowie zrozumieli to, co pani mówiła?

— Całkowicie pewna — stwierdziła Tansy.

— A zatem dlaczego pozwolili jej przybyć i pracować tutaj, skoro dziadek uczynił wszystko, by oddalić ją od tego miejsca — zapytał.

— Nie wiem — odparła szczerze Tansy. — Może myślał, że niebezpieczeństwo minęło po odjeździe jej matki.

Mark zmarszczył brwi.

— Wykazywała talent do ogrodnictwa już od dzieciństwa z tego, co wiem — powiedział. — Wyglądałoby dziwnie, gdyby próbował powstrzymać ją od pracy w rodzinnych szklarniach. To się zgadza — pokiwał głową. — Przypuszczając, że ma pani rację, co proponuje pani czynić dalej?

— No cóż, należałoby jej powiedzieć prawdę — odpowiedziała Tansy.

— Nie. — Jego głos stał się nagle ostry. — Nie może pani po prostu podejść i powiedzieć jej o tym tak sobie. Jestem pewien, że nigdy nie wyjawiono jej prawdziwego pochodzenia.

— Ale ktoś musi jej powiedzieć! — zaprotestowała Tansy. — Najlepiej, aby uczynili to pan i pani Parker. Ale mam wątpliwości, czy zechcą, jako że utrzymywali ten sekret przez tak wiele lat. Ona musi wiedzieć, Mark! — Spojrzała na niego wyzywająco.

— Proszę posłuchać — westchnął, przeczesując ręką włosy. — Rozumiem, co pani czuje, proszę mi uwierzyć! Ale to trzeba rozegrać bardzo ostrożnie. Czy ma pani pojęcie, co moglibyśmy uczynić Heather, powiadamiając ją teraz, że nie jest krewną Bensona Whittona? Ona mu tak ufała; ujawnienie prawdy byłoby dla niej wstrząsem.

— Ale ona ma prawo wiedzieć, kim byli jej prawdziwi rodzice — nalegała Tansy. — I jestem pewna, że chciałyby to wiedzieć. Ja bym chciała, a pan? — Jej głos odrobinę drżał. — Nie mogę naprawić tego, co zrobili moi rodzice, ale przynajmniej mogę ujawnić jej prawdę.

— Nie jest jej pani nic winna, Tansy! — Mark spojrzał na nią stanowczo. — Nie może pani brać na swe barki błędów rodziców! Proszę o tym zapomnieć.

— Odnalazłam siostrę, a pan chce, bym o tym zapomniała? — zapytała Tansy z wyrzutem.

— Proszę mnie posłuchać! — wziął ją za ramiona i spojrzał jej w oczy. — Znam Heather od dziecka. Dokładnie wiem, jak się będzie czuła na wieść o tym, że nie jest spokrewniona z Bensonem Whittonem, tak jak myślała. — Jego głos stał się łagodniejszy. — Wiem również, jak pani się czuje. Ale to nie moment na wynurzenia tego rodzaju. Trzeba wszystko rozegrać taktycznie.

— Mark, Heather to moja przyrodnia siostra! — ucięła Tansy desperacko. — Dlaczego wszyscy uważają, że może ona mieć inne zdanie na ten temat niż ja? Możemy sobie wzajemnie tak wiele ofiarować — przerwała, słysząc ciężkie westchnienie Marka. Spoglądał w bok. Obracając się, zobaczyła tam Heather. Przerazenie na jej twarzy było wyjątkowo widoczne w białym blasku światła. Była blada, szklily jej się oczy. Nie było żadnej wątpliwości, że słyszała całą rozmowę.

— Heather! — Mark instynktownie ruszył w jej stronę, a jednak, zanim wykonał choć krok, dziewczyna odwróciła się i zniknęła im z oczu. Rzucając szybkie spojrzenie w kierunku Tansy, mężczyzna pospieszył za Heather. Tansy wahała się przez moment. Instynkt podpowiadał jej, by ruszyć za nimi i złagodzić efekt nagłego i nie zamierzonego wyjawienia dziewczynie prawdy. Mogła sobie wyobrazić stan jej umysłu, świadoma swych własnych niedawnych uczuć. Podążając za Markiem dotarła na skraj polanki. Teraz straciła z oczu ich oboje. Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań wróciła w pobliże parkietu, przypuszczając, że spotka ich właśnie tam. Nie znalazła jednak ani śladu Heather czy też Marka. Spotkała się jednak spojrzeniami z Laurą Harmon. Skierowały się ku sobie.

— Tansy? Czy coś się stało? — Starsza kobieta spojrzała na nią z zatroskaniem, podchodząc bliżej.

— Och, Lauro! — Głos Tansy drżał. — Narobiłam tyle zamieszania.

— Nie może być aż tak źle. — Laura dotknęła jej ramienia. — Opowiedz mi o tym.

Tansy nie potrzebowała wcale zachęty, by zwierzyć się z wydarzeń ostatnich kilku minut.

Laura słuchała bez słowa, póki Tansy nie skończyła.

— Nie chciałam, by Heather dowiedziała się o wszystkim w ten sposób, Lauro — zakończyła Tansy z przejęciem.

— Co się stało, to się nie odstanie. — Głos Laury był delikatny. — Pozostaje jeszcze Mark. Być może on będzie wiedział, dokąd poszła Heather.

Odwracając się szybko Tansy ujrzała Marka zmierzającego ku nim z kamiennym wyrazem twarzy.

— A więc nie znalazł jej pan? — spytała Tansy, gdy tylko do nich dotarł.

— Nie. — Głos miał zmartwiony. — Zamierzam wziąć samochód i poszukać jej. Widziałem jej rodziców odchodzących stąd kilka minut temu i nie było jej z nimi.

— Och, Mark! — westchnęła Tansy. — Dałabym wszystko, by tego uniknąć...

— Spóźniony żal! — przerwał. — Możemy jedynie postarać się zminimalizować skutki. Oczywiście, kiedy ją wreszcie znajdziemy. — Odwrócił się i odszedł w kierunku Gatehouse Cottage.

— Ja również mam zamiar się trochę rozejrzeć — powiedziała zdecydowanie Tansy. — Jak sądzisz, Lauro, dokąd ona mogła pójść? Znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Laura pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

— Nie przychodzi mi do głowy żadne szczególne miejsce — przerwała na widok nadchodzącego ku nim Joego Traynora. — Przepraszam, Tansy. — Zostawiwszy dziewczynę podeszła do staruszka i przez chwilę intensywnie o czymś rozmawiali. Tansy zauważyła, jak oczy Laury napędniają się przerażeniem. Pospieszyła ku niej i uchwyciła jej ramię.

— O co chodzi? Co się stało...

Laura skierowała na nią zatroskany wzrok.

— Chodzi o łąkę, łąkę z dzikimi kwiatami...

Gdy to mówiła, ludzie zaczęli biec w tamtym kierunku. Nawet tańczący zatrzymali się widząc, że coś jest nie tak. Tansy nie musiała już zadawać dalszych pytań. Jej nozdrza uchwyciły wreszcie charakterystyczny zapach...

— Och, nie! — wyrwało jej się z gardła.

Ludzie biegli teraz w kierunku szklarni, wśród nich Joe i Laura, a Tansy także nie traciła czasu. Docierając do szczytu ścieżki zobaczyła migotanie odbite w oknach szklarni i jej umysł wypełniło przerażenie. Wspaniała łąka stała w ogniu! Zdruzgotana patrzyła na rozciągający się przed nią widok. Ogień niewątpliwie rozpoczął się w pobliżu bramy i rozprzestrzenił się gwałtownie po górnej połowie łąki. Ku swej uldze dostrzegła jednak, że z dala od budynków szklarni. Wiatr nie był silny, a jednak nie było wątpliwości, że ogień zapanował nad łąką i że zostanie ona zniszczona, jeśli natychmiast się czegoś nie zrobi.

— Czy ktoś wezwał straż pożarną? — Rozejrzała się wokół po gapiach.

— Już są w drodze — powiedział jej jakiś mężczyzna. Niektórzy ludzie biegli z wiadrami, lecz niewielka ilość wody, jaką one zawierały, nie zdołała przygasić płomieni. Nie mogąc w niczym pomóc, Tansy mogła jedynie przypatrywać się bezradnie, nasłuchując dźwięków syren strażackich. Niech ktoś coś zrobi — pomyślała desperacko. Jeden z

mężczyzn przytaszczył długą rurę, którą szybko połączono z hydrantem. Tansy patrzyła w napięciu na akcję ratunkową. Niektórzy ludzie zadeptywali ogień nogami, nie bacząc na żar bijący z ziemi. Inni desperacko dławili płomienie starymi workami.

— Pozwólcie mi też gasić. — Nie mogąc wystać dłużej spokojnie, Tansy chwyciła kilka worków spod ramienia przebiegającego mężczyzny i pobiegła za nim. Obcisła sukienka i buty na wysokim obcasie utrudniały jej bieg, a jednak parła naprzód. Gdy już znalazła się za bramą, zaczęła szaleńczo tłuc ogień. Nie uzyskała żadnego efektu. Odczuwała intensywny żar; po kilku sekundach z trudem łapała powietrze, lecz nadal z determinacją kontynuowała swe wysiłki.

— Dawajcie to mnie, tutaj! Wycofujcie się za bramę! — Usłyszała za sobą głos Marka Harmona. Odebrawszy jej worek, wypchnął ją delikatnie za bramę, gdzie przez moment przystanęła zaskoczona, obserwując, jak mężczyzna wraca w płomienie.

Usłyszała wówczas odległy dźwięk syreny i serce podskoczyło jej z radości. Dym wdzierał się w nozdrza, szczypał w oczy i wywoływał łzawienie. Miała osmoloną twarz i rozognione policzki, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Wóz strażacki manewrował między szklarniami i już wkrótce jego załoga przystąpiła do akcji.

— Odejdź stąd, Tansy! — Laura pociągnęła ją za ramię w kierunku tłumy gapiów stojących w bezpiecznej odległości.

— Wszystkie te piękne kwiaty... — Głos Tansy łamał się.

— Zasadzimy nowe — pocieszała ją stara kobieta. Zauważyła, w jakim stanie znajduje się Tansy i pokręciła głową. — Nie powinnaś była tam wchodzić — powiedziała z przyganą.

— Musiałam coś zrobić — usprawiedliwiła się Tansy, nadal patrząc na rozgrywające się przed nimi sceny.

— Wkrótce opanują całą tę sytuację — pocieszała Laura.

— Mam nadzieję, że Markowi nic się nie stało — wyszeptała Tansy niepewnie, tracąc go na chwilę z oczu.

— Nic mu nie jest. Patrz, już stamtąd wychodzi — powiedziała Laura.

Mark opuszczał łąkę, kierując się w stronę gapiów. Zwiesił ramiona w geście rezygnacji, czym chwycił Tansy za serce. Wiedziała, jak wiele znaczy dla niego ta łąka; jak wiele znaczy ona dla nich wszystkich. Teraz, w ciągu kilku chwil, wydawało się, że wszystko przepadło.

Podszedł bliżej, stanął przy nich i obserwował, jak strażacy wkraczają do pracy. Z rozwiązanym krawatem, nieskazitelnym do niedawna garniturem i białą koszulą umazaną teraz sadzą wyglądał równie

niechlujnie jak Tansy. Nikt nie powiedział ani słowa w czasie, gdy strażacy walczyli z ogniem. Tansy obserwowała bezsilnie, jak kolumna dymu wzbijała się spiralnie w powietrze po wygaszeniu płomieni. Niewiele było widać przez ten dym, ale już z tego, co można było dostrzec, zauważyła, że łąka nie została całkowicie zniszczona. Jednak straty były duże. Podniosła wzrok na Marka, a smutek w jego oczach jeszcze bardziej ją przygnębił. Jeszcze niedawno był tak dumny, pokazując jej tę łąkę...

Wcześniejsze uczucia wobec niego były niczym w porównaniu z tymi, które zagościły w jej sercu na widok osmalonej, smutnej twarzy. Pod wpływem impulsu chwyciła jego dłoń i powiedziała:

— Możemy zasadzić więcej, Mark; tyle łąk, ile zapagniemy!

Przez moment nie odpowiedział, a potem otrząsnął się z oszołomienia i spojrzał na nią, w milczeniu zaciskając palce na jej dłoni. Pod wpływem tego prostego gestu do oczu Tansy napłynęły łzy. Potem ludzie wokół nich zaczęli się rozstępować. Ktoś przeciskał się między nimi. Wkrótce tuż obok znalazła się Heather z szeroko rozwartymi oczyma. — Och, Mark...

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy stanęła u jego boku. Automatycznie objął ją ramieniem, uwalniając rękę Tansy. W tym stanie emocjonalnym potraktowała jego gest jak policzek i odwróciła się od niego. Nie było wątpliwości co do szczerości reakcji Heather, zważywszy na to, co przeżyła moment wcześniej i Tansy nie czuła do niej pretensji za nagłe pojawienie się. Jednak bolało ją serce, gdy patrzyła na tych dwoje. Jakich jeszcze dowodów miłości Marka wobec Heather mogła oczekiwać? Jakich dowodów własnej miłości do niego? Teraz skłonił swą głowę w kierunku głowy tamtej kobiety i pocieszał ją jak dziecko. Stojąc na uboczu, czuła się porzucona i nie chciana. Jakież miało sens pocieszenie przez nią tego mężczyzny? Całą swą pociechę czerpał on z Heather. Odwróciła od nich twarz, nie mogąc zapanować nad malującymi się na niej uczuciami. Dlaczego, na Boga, dziadek właśnie jej zapisał ten majątek? Było to gorzkie dziedzictwo, o którym z całego serca wołałaby zapomnieć. Nie było dla niej miejsca na Calanarze.

Odwróciwszy się minęła grupę gapiów, zupełnie ignorując ich obecność. Jak mogło dojść do tego pożaru? Bezsilnie wzruszyła głową, a łzy spłynęły jej po policzkach. Ale nie spowodowała ich historia z łąką, lecz jej własne nieszczęście. Widok Marka i Heather razem, zjednoczonych w smutku i nie zważających na nią ani na kogokolwiek innego przydał jej jedynie jeszcze więcej bólu.

— Tansy!

Słyszając głos Laury odwróciła się i ujrzała, że staruszka podąża zanią.

— Przejdę się z tobą. Widziałam już dosyć! — Jej twarz wykrzywiona była strachem. Panowała nad swymi emocjami z nie mniejszą trudnością niż Tansy. — Musimy do świata i ludzi nastawiać się pozytywnie — wymamrotała biorąc Tansy za ramię, gdy zrównała się z nią krokiem.

— Dobrze, że nic nie stało się żadnemu z budynków. Dzięki Bogu, łąka jest z dala od nich, a wiatr wiał w przeciwnym kierunku. Wygląda na to, że zniszczeniu uległa połowa łąki. Jutro będziemy wszystko wiedzieć lepiej.

Palce Tansy zacisnęły się na moment mocniej wokół ramienia Laury. Razem pomaszerowały w kierunku Gatehouse Cottage. Tansy weszła do środka za staruszką i towarzyszyła jej przy nastawianiu czajnika na herbatę.

— Jak rozpoczął się pożar? Czy ktoś coś wie na ten temat? — zapytała.

Laura westchnęła.

— Pogoda była ostatnio gorąca i sucha. Być może czyjaś niedbałość...

Coś w jej głosie sprawiło, że Tansy spojrzała na nią uważnie, próbując czytać z jej twarzy.

— Ale tutejsi ludzie są tak uważni, znają czające się niebezpieczeństwa — przestała mówić nagle przypominając sobie, co Laura powiedziała jej na temat przypadków wandalizmu i to, że Mark obciążał nimi Paula Tregartha.

Wyprostowała głowę i wstrzymała oddech.

— Czy naprawdę nie sądzisz, że ktoś zrobił to celowo?

To nie mogło być prawdą. Jakkolwiek zdenerwowany mógł być Paul Tregarth jej odmową sprzedaży, nie zniszczył chyba celowo łąki dzikich kwiatów w akcie zemsty. Nie mogła w to uwierzyć; nie uwierzy! Był to przypadek, nic więcej, ów pożar tak szybko po jej odmowie.

— Nie wiemy. Nie chcemy wskazywać palcem — powiedziała ostrzegawczo Laura. — Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Tansy spojrzała na nią ostro.

— Ale ty sądzisz, że kryje się za tym Tregarth, prawda? — zapytała.

Laura westchnęła i wykonała bezradny gest.

— Przeczucie podpowiada mi, że nie miał on z tym nic wspólnego — powiedziała w końcu. — A jednak Mark z pewnością tak pomyśli, jak sądzę. Ale Tregarth nie jest głupcem. Wiedziałby, że podejrzenie padnie na niego, skoro to wszystko wydarza się tak szybko po waszej rozmowie.

Nie, on nie jest aż tak głupi — pokręciła głową. — To tylko tragiczny wypadek — kontynuowała. — Nie możemy niczego udowodnić. Nie jestem nawet pewna, czy chciałabym tego. — Wzdrygnęła się lekko. — Paul Tregarth to agresywny sąsiad, lecz także potężny wróg, który może się posunąć nie tylko do sabotażu. Nie wiem. Jakiegokolwiek oskarżenie z naszej strony może doprowadzić do konfrontacji. Żyliśmy obok siebie z problemami od lat. Lepsze już to niż otwarta wojna, nie sądzisz?

— Ale jeśli on się za tym kryje... — zaczęła Tansy.

— Będziemy wiedzieć lepiej nad ranem. Być może strażacy będą mogli orzec, co spowodowało pożar. Pozostaje nam jedynie oczekiwanie — powiedziała utrudzonym głosem Laura. — Mark odwiezie Heather do domu. Ona jest naturalnie bardzo przygnębiona. Ta łąka była jej dumą i radością; zasadziła ją dla twojego dziadka wiele lat temu.

Tansy skinęła słabo głową. To był zły dzień dla Heather. Prawdę powiedziawszy, zły dla nich wszystkich. Im szybciej się skończy, tym lepiej.

W jakiś czas potem wróciła do Lodge. Położywszy się do łóżka, nie mogła zasnąć. W jej głowie kłębiły się myśli o wydarzeniach tego dnia. Zabawa okazała się wspaniałym sukcesem, ale został on całkowicie przyćmiony przez tragiczny koniec. Czy spowodował go Tregarth, czy też lepiej było myśleć, tak jak sugerowała Laura, że to nie on, dopóki nie znajdą się dowody? A jednak bez względu na to, czy to był wypadek, czy nie, straty nie były aż tak wielkie. Wiedziała, że łąka znów zakwitnie. Już Mark i Heather się o to postarają. Nie widziała tutaj dla siebie dalszej roli, ani też sytuacji, w której mogłaby być niezbędna. Pomimo wzrostu własnych uczuć dla wyspy i zdobycia przyjaźni większości jej mieszkańców, czuła się bardziej niż kiedykolwiek osobą z zewnątrz. Od momentu swojego przybycia powodowała jedynie kłopoty. Swoimi działaniami zniszczyła świat Heather Parker, pozbawiła ją dumy rodzinnej, nie dając nic w zamian poza wiedzą, iż jest ona córką nie chcianą przez swych własnych rodziców. Nic dziwnego, że dziewczyna uciekła niezdolna się z tym wszystkim pogodzić.

Tansy przewracała się na łóżku niespokojnie wzdychając. Czy Heather, gdy już minie szok, będzie w stanie przebaczyć jej wyjawienie tego, co inni woleli przed nią ukrywać? Czy to właśnie oni mieli rację? Nie wiedziała. Była jedynie przekonana, że im szybciej zejdzie tym ludziom z drogi życia, tym lepiej. Wszystko ułoży się między Markiem a Heather, jak tylko ona znajdzie się na lądzie. Prawdopodobnie w przyszłości się pobiorą. Heather pozostała przynajmniej jej miłość do

Marka. Tego jej nie zabrała. Jej własne uczucia do niego trzeba będzie zwalczyć bez litości. Nie mogła oprzeć się myślom, że jej ojciec mógł przewidzieć, iż jedna z jego córek będzie musiała zapłacić tę cenę. Dopiero gdy zadzwonił telefon i usłyszała głos Davida, przypomniała sobie jego słowa o nocnym promie. Pożar zupełnie usunął to z jej myśli. Teraz było już za późno, a poza tym w zaistniałych okolicznościach nie powinna wyjeżdżać. Mogła jedynie mieć nadzieję, że Mike Hollingworth nie wykona żadnego ruchu przeciwko niej do poniedziałku. W jednej chwili uświadomiła sobie, że przedkłada sprawy na wyspie ponad własne interesy.

— A więc zdecydowałaś się nie wracać do domu? — Jego ton nie zdradzał objawionego poprzednio gniewu.

— David! Sądziłam, że wyjechałeś...

— Prom zaraz odpływa. Chciałem się jedynie upewnić, czy naprawdę wiesz, co robisz — przerwał jej.

— Miałam zamiar złapać prom — powiedziała mu. — Ale...

— Nie mów mi. Pozwól, że zgadnę — przerwał ponownie. — Zwierzak tego dziecka umarł po szoku spowodowanym nieotrzymaniem pierwszej nagrody i musiałś zostać, by je pocieszać. A może zapomniałaś, że byłaś umówiona na spotkanie koła gospodyń wiejskich?

Palce Tansy zacisnęły się na słuchawce. Po wydarzeniach tego wieczora było to już zbyt wiele... Miała też nadzieję, że jego zapalczywość tymczasem ostygła, albo przynajmniej osłabła na tyle, by móc prowadzić cywilizowaną rozmowę.

— Nic z tych rzeczy, Davidzie! — powiedziała w końcu. — Mieliśmy pożar.

— Och! — Jego głos stał się sztucznie zatroskany. — Czy komuś się coś stało?

— Na szczęście nie — stwierdziła Tansy. — Ale łąka dzikich kwiatów mojego dziadka została częściowo zniszczona.

Nastąpiła krótka cisza.

— Chcesz przez to powiedzieć, że spóźniłaś się na prom z powodu garstki dzikich kwiatów? — zapytał w końcu. — Czy ty naprawdę traktujesz to poważnie?

— Nie mogłam ich tak zostawić, Davidzie! — zaprotestowała. — Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo wszyscy się tu zmartwiliśmy...

— My? — powtórzył sucho.

Tansy umilkła. Ciekawe, co by zrobił dowiedziawszy się, że opuściły ją wszelkie myśli o wyjeździe z wyspy na samą wieść o tym, że Heather

jest jej siostrą, jeszcze przed pożarem. Przypomniała sobie jednak, iż David nic nie wiedział o tej sprawie. Uświadomiła sobie również, że woli, aby tak pozostało.

— Przepraszam, jeśli odniosłeś wrażenie, iż zbyt angażuję się w tutejsze sprawy, Davidzie — powiedziała. — Ale jestem tym ludziom coś winna. Czy naprawdę tego nie dostrzegasz? Poza tym... — Jej głos stał się chłodniejszy, gdy przypomniała sobie powód jego przyjazdu na Calanarę. — Nie bardzo nadajesz się na kogoś, kto powinien mówić mi o moich powinnościach.

— Nie powinnaś była wcale przyjeżdżać na tę wyspę — oznajmił zniecierpliwiony. — Mogłaś to wszystko powierzyć prawnikom, wziąć pieniądze i zapomnieć o tym przeklętym miejscu!

Wiedziała, że tak właśnie postąpiłby na jej miejscu. Być może miał rację. Gdyby nie przyjechała na Calanarę, nie byłoby kryzysu w pracy, nie bolałoby jej serce z powodu mężczyzny związanego z kimś innym i smutnych wieści o tym, jak jej rodzice postąpili kiedyś z pewnym dzieckiem. Zastanawiała się, czy jej związek z Davidem pozostałby nienaruszony, gdyby nie przybyła na wyspę? Wkrótce i tak odkryłaby pewnie płytkość uczuć kryjącą się za urokiem osobistym, a jednak teraz rozpatrywała całą rzecz bardziej filozoficznie, dysponując porównaniem z mężczyzną takim jak Mark Harmon.

— Czy nadal mnie słuchasz, Tansy? Muszę już kończyć. Prom zaraz odpływa. — Głos Davida wdarł się w jej myśli. — Nie mów, że cię nie ostrzegałem co do sytuacji, dobrze? Nie powstrzymam Mike'a Hollingwortha przed zrobieniem tego, na co będzie miał ochotę.

Tansy przyznała mu rację. Przynajmniej próbował ją ostrzec. Nie dziwiła się także jego gniewowi na wieść, że nie chce wyjechać. Chciał, aby wróciła spierać się z szefem lub zrezygnować z pracy, oszczędzając mu tym samym konieczności podjęcia decyzji. Tansy westchnęła. Cokolwiek stanie się w najbliższej przyszłości, ona i David pójdą swoimi drogami...

— Do widzenia, Davidzie — powiedziała z żalem do słuchawki.

— Zadzwońię do ciebie... — Jego głos zaniknął.

Po chwili usłyszała trzask i połączenie zostało przerwane.

Wzdychając oparła się o poduszkę i wpatrzyła się w ciemność, ale jeszcze wiele czasu upłynęło, zanim zasnęła.

Obudziła się wcześniej po koszmarnej nocy i zaraz ogarnęły ją wspomnienia wydarzeń z poprzedniego dnia. Natychmiast udała się w kierunku łąki i już z dala dostrzegła znaczne zniszczenia. Wokół kręcili

się ludzie o smutnych obliczach. Bez trudu dostrzegła pośród nich wysoką sylwetkę Marka Harmona. Ujrzawszy ją przerwał rozmowę ze swym towarzyszem i ruszył ku niej. Zauważyła, że wyglądał na zmęczonego, ale nie zwieszał już tak żałośnie ramion w dół jak poprzedniego wieczora.

— Jakież wieści na temat, jak do tego doszło? — spytała, gdy stanął obok.

— Strażacy znaleźli wypalone zapalki przy bramie — powiedział jej. — Wygląda na to, że ktoś z gości zawędrował tutaj i był nieco nieostrożny.

Tansy trochę się rozluźniła. Przynajmniej nie oskarżał jeszcze Paula Tregartha i ostrożnie podchodził do sprawy.

— A więc myśli pan, że to nieszczęśliwy wypadek? — zapytała.

— Jakiż mamy dowód, że było to coś innego? — odparł chmurnie. — Wczorajszej nocy było tu wiele ludzi, a wśród nich mieszcuchy nieświadome pewnych zagrożeń. A jednak to chyba nieostrożność.

Tansy spoglądała na niego łagodnie. Choć znów odzyskał pełną kontrolę nad sobą, wiedziała, jak bardzo cierpi z powodu częściowego zniszczenia łąki.

— Możemy to znów zasiać — powiedziała cicho.

— Oczywiście — przyznał. — Ale niektóre z nasion to rzadkość i trudno je zdobyć.

Zauważywszy mały skrawek ziemi z biało-srebrnymi kwiatami przy ogrodzeniu, w jakiś cudowny sposób ocalony przed ogniem, Tansy przystanęła i zerwała jeden. Powąchała go. Łzy Merlina, endemiczny wyspiarski kwiat...

— Szkoda, że starego nie było tutaj z nami wczoraj wieczorem — zauważył Mark z oczami utkwionymi w kwiat, który trzymała.

Tansy milczała. Woląла o tym nie myśleć. Przetrwanie tych kilku kwiatków w środku spustoszeń dobrze wróżyło na przyszłość i było znakiem, że łąka zostanie kiedyś przywrócona swej pierwotnej krasie.

— A jak się miewa dziś rano Heather? Czy już się widzieliście? — spytała.

— Nie, ale rozmawiałem z nią przez telefon — odparł. — Chyba jest już dużo spokojniejsza.

— To dobrze. — Tansy na moment spojrzęła w bok. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało — powiedziała po chwili. — W tak okropny sposób dowiedziała się o swoim pochodzeniu.

— Tak, to prawda — zgodził się Mark. — Ale nic już nie można zrobić, a ona sama wydaje się już pogodzona z sytuacją.

Zawałał się na moment, po czym mówił dalej odwróciwszy wzrok:

— Nie chce jedynie się z panią widzieć, jeśli o to chodzi.

— Och? — Zraniona jego słowami Tansy nie potrafiła ukryć swego zawodu. — Rozumiem jej uczucia wobec naszego ojca, ale chyba nie przenosi ich na mnie?

— Jednakże ona właśnie tego sobie życzy, a my musimy respektować jej życzenia. — Ton Marka był stanowczy. Zauważywszy minę Tansy, nieco złagodził brzmienie głosu.

— Trzeba dać jej nieco czasu — stwierdził. — Ona była bardzo oddana pani dziadkowi. Dla niej był to szok, gdy dowiedziała się, że nie jest z nim spokrewniona.

Tansy skinęła głową. Pomimo dobrych intencji Benson Whitton był za wiele rzeczy odpowiedzialny — pomyślała. Nie po to bynajmniej, by umniejszyć winy swego ojca, lecz gdyby Benson Whitton nie zabronił Parkerom wyjawienia Heather prawdy o jej pochodzeniu, nie doznałaby aż tyle bólu. Niesłusznie przypisywał sobie pewne prawa, we własnym mniemaniu zabezpieczając Heather, a w gruncie rzeczy czyniąc jej krzywdę. W końcu bowiem prawda wyszła na jaw i Heather boleśnie to przeżyła. Teraz jedyne, co mogła zrobić, to zgodnie ze wskazaniem Marka zaakceptować decyzję dziewczyny i mieć nadzieję, że z czasem zmieni ona zdanie. W końcu były przyrodnimi siostrami, a błędy przeszłości nie powinny mieć wpływu na teraźniejszość. Chciała podzielić się z nowo odnaną siostrą tyloma sprawami, ale Marka nie mogły mieć wspólnie. Ta myśl przypominała jej o decyzji z poprzedniej nocy, aby opuścić wyspę najszybciej, jak to możliwe.

— Wyjeżdżam jutro, Mark — powiedziała mu. Zmarszczył brwi.

— Myślałem, że po tym wszystkim... — wskazał w kierunku łąki — ...zostanie tu pani jeszcze trochę.

Spojrzała na niego bezradnie. Cóż dobrego mogło wyniknąć z dalszego pobytu i skąd mogła mieć pewność, że jeśli zostanie tu dłużej, nie będzie jej trudniej wyjechać? Różnie bywało z ich wzajemnymi stosunkami, lecz obecnie uczucie do niego mogło jedynie rosnąć, pomimo wysiłków przeciwdziałania zauroczeniu, jeśliby została.

— Muszę rozwikłać problemy swej własnej kariery. Wspominałam już o tym, prawda? — powiedziała niepewnie. — Poza tym nic tu mnie nie trzyma.

Słowa te zabrzmiały zimno i okrutnie, a jednak były prawdziwe. Nic jej tu nie trzymało; do niczego nie miała prawa. Rysy jego twarzy wyostrzyły się. Odwrócił się od niej i przez moment nic nie mówił.

— A więc co panią tu zatrzymało do tej pory? — zapytał zdławionym głosem.

Spodziewała się tej uwagi. A jednak odczuła ją jak policzek i nie była na nią przygotowana. Twarz jej pobladła i odwróciła się w stronę, z której przyszła.

— Panno Forester.

Zamiar szybkiego dotarcia do Lodge został udaremniiony czymś wołaniem. Odwróciwszy się niechętnie, dostrzegła sylwetkę nieśmiało spoglądającego na nią Joe Traynora.

— Witam cię, Joe. — Mimo chęci jak najszybszego odejścia mówiła spokojnie i poczekała, aż mężczyzna zrówna się z nią krokiem. — Wkrótce odjeżdżam — dodała, gdy znalazł się obok.

— Mieliśmy nadzieję, że pani zostanie — przemówił z lekkim wyrzutem. Fakt ten wpłynął na Tansy kojąco. Musiał traktować ją niezupełnie jak obcą, aby tak powiedzieć... Miał zakłopotany wyraz twarzy, jakby szukał słów, zyskawszy jej uwagę.

— O co chodzi, Joe? — Spojrzała na niego z troską. — Czy stało się coś złego?

Zawahał się, a wówczas przyszła jej pewna myśl do głowy.

— Wiecie już, że wasze domki są bezpieczne, prawda? — zapytała przeczuwając, że chodzi właśnie o to. — Mark, znaczy pan Harmon powiedział wam chyba, że w końcu nie sprzedaję firmy Tregarthowi.

— Nie o to chodzi, chociaż bardzo jesteśmy pani wdzięczni — wymruczał. — Rzecz w tym, że coś nie daje mi spokoju, panienko, i wiem, że jest moim obowiązkiem powiedzieć o tym komuś. Nie mogę się z tym zwrócić do pana Harmona, bo wie pani, jak on jest blisko z panną Parker, ale...

— Co pragniesz mi powiedzieć, Joe? — Tansy spojrzała na niego z ukosa poruszona nagłym wspomnieniem imion Marka i Heather.

— No cóż, panienko — zawahał się, a potem zmienił zdanie. — Nie chciałbym sprawić nikomu kłopotu, ale muszę to z siebie wyrzucić. Nie mogę już dłużej tego tłamsić.

— Nie możesz tłamsić czego? — Ciekawość wyostrzyła głos Tansy. — No dalej, Joe. Powiedz mi, co takiego cię dręczy, że nie możesz o tym rozmawiać z panem Harmonem? — Spojrzała na niego pytajaco.

— Widzi pani, to było wczoraj przed pożarem — mówił powoli, nadal niezbyt pewien swego. — Byłem tutaj w szklarni i zobaczyłem, jak ktoś idzie na łąkę. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale później wybuchł pożar i wszystko sobie skojarzyłem.

Tansy wstrzymała oddech:

— Widziałeś, jak ktoś szedł na łąkę tuż przed pożarem? — zapytała w napięciu. — Sądzisz, że mogła to być osoba, która... — przerwała widząc wyraz jego twarzy.

— Kto to był, Joe? — zażądała odpowiedzi. — Kogo widziałeś, jak szedł na łąkę?

— To była panna Heather — powiedział niepewnie. — Wyglądała na przygnębioną, a w parę chwil potem dostrzegłem ogień.

Tansy poczuła, jak fala zimna ogarnia jej ciało, gdy zdała sobie sprawę ze znaczenia słów mężczyzny...

RS

Rozdział 7.

— Czy osoba, którą widziałeś, to na pewno była Heather? — Tansy chwyciła staruszka za ramię. — Jesteś pewien, Joe?

Skinął głową ściskając w dłoniach czapkę:

— Musiałem to komuś powiedzieć — wymruczał. — Nie mogłem milczeć, nie na temat czegoś takiego.

Tansy przeczesła dłonią włosy w nadziei, że znajdzie w myślach jakieś wyjaśnienie, lecz nadal milczała. Patrząc bezradnie na mężczyznę, zauważyła, że on też się denerwuje. Pracował w szklarniach od wieku chłopięcego, prawdopodobnie latami ściśle współpracował z Heather i z pewnością takie wyznanie wymagało od niego wielkiego wysiłku. Mogła się jedynie domyślać napięcia, w jakim żył od wczoraj. Z pewnością musiało istnieć jakieś wytłumaczenie tego, co widział. Heather wybiegła podekscytowana, gdy usłyszała, jak Tansy zwierza się Markowi z odkrycia faktu ich pokrewieństwa. Cóż mogło być bardziej naturalnego od skierowania się ku łące, miejscu, które kochała i z którego była dumna, a które zarazem zapewniało jej niezbędne ukojenie po emocjach wywołanych słowami Tansy? To musiał być zbieg okoliczności! A jednak, skoro była na łące tuż przed pożarem i sama nie odpowiadała zań, musiała widzieć sprawcę. Z tego, co Tansy wiedziała, Heather nie wspominała nic o pobycie na łące i to czyniło winę jeszcze bardziej prawdopodobną. Dlaczego zrobiła tak okropną rzecz, jeśli ją w ogóle zrobiła? Benson Whitton i ona razem zasadzili łąkę; dlaczego miałyby chcieć ją zniszczyć? Nawet zadając sobie to pytanie Tansy nie potrafiła uzyskać odpowiedzi. Czyżby po wynurzeniach Tansy na temat jej pochodzenia gniew Heather skierował się na człowieka, który przez całe życie mamił ją więzami krwi? Czyżby wymknięcie się tego gniewu spod kontroli sprawiło, że chciała uderzyć właśnie w niego? Łąka była jego dumą i radością; tak brzmiały słowa samej Heather, przypomniała sobie Tansy. Niszcząc łąkę chciała ona w pewien sposób odegrać się na Whittonie. Czy właśnie tak się stało? Tansy pokręciła głową. Ale czy na pewno tak nie było? Zniszczyć coś tak pięknego... A jednak nie miała trudności z wyobrażeniem sobie, że zrobił to Paul Tregarth. Czy znacznie silniejsze pobudki, jakie miała Heather, nie mogły doprowadzić do podobnego czynu? Nie pozwalała sobie na danie temu wiary. Heather nie była tak bezlitosna i zimnokrwista jak Tregarth. Była kobietą o silnych uczuciach i emocjach. W tym momencie znów wewnętrzny głos pytał,

czy właśnie dlatego mogła poddać się impulsowi i wykonać ten okrutny gest podpalenia łąki.

Czując ciężar na sercu, Tansy spojrzała na starego. Teraz obserwował ją z mieszaniną ulgi i współczucia. Współczucie spowodowane było świadomością dylematu, w jakim się znalazła, a ulga przekazaniem jej odpowiedzialności za wyciągnięcie wniosków.

— Nie wspominaj o tym nikomu innemu—poprosiła po chwili. — Ja zajmę się wszystkim.

— Proszę na mnie polegać, panienko!

Odszedł pozostawiając Tansy z wyjawionymi jej rewelacjami. Z rozpaczą zastanawiała się, co teraz robić. Jeśli powie o tym Markowi, ten będzie nalegał, by wypytać dokładnie Heather. Instynktownie czuła również, że wcale nie podziękuje jej za tę wiadomość. Heather i on byli sobie bliscy; jakkolwiek sugestia co do jej odpowiedzialności za pożar łąki mogła nim wstrząsnąć. A jednak jedyną alternatywą było milczenie.

Tansy ruszyła dalej, rozważając słowa Joe Treynora. Mogło również istnieć jakieś zupełnie niewinne wyjaśnienie obecności Heather na łące, ale Tansy postanowiła bez względu na okoliczności zachować całą sprawę dla siebie. W końcu Heather była jej przyrodnią siostrą, dzieckiem, które porzucił jej ojciec. Jeśli pozwoli na kilka sekund, by zawaładnęły nią emocje i dokona zemsty w przyływie gniewu, wówczas Tansy będzie również winna. Gdyby Heather nie dowiedziała się w tak brutalny sposób o swoim pochodzeniu od Tansy, nie zareagowałyby tak. Nigdy nie dowie się od Tansy, że widziano ją w pobliżu łąki. Będzie to sekret, który zabierze ona wraz z sobą, opuszczając wyspę...

Nadeszła pora na lunch. Tansy przyjęła zaproszenie Laury, nie chcąc przebywać w mrocznym budynku Lodge, ale przez cały czas trwania posiłku życzyła sobie, by już się on skończył. Mark wyglądał na zapracowanego. Odłożył nóż i widelec i oparł się wygodnie o krzesło, jakby podjął jakąś decyzję.

— Nie wiem, czy o tym wspominać, czy nie...spojrzał na Tansy. — Otrzymałem telefon z sieci supermarketów dziś rano.

— Och? — Spojrzała na niego pytająco. Westchnął.

— Mówiłem już, że Tregarth nie powiedział ostatniego słowa. — Oczy mu się zwięzły. — Interes, który z nimi ubiliśmy w sprawie dostawy roślin, jest nieaktualny. Nie zamierzają go zrealizować.

— Och, Mark! — Tansy spojrzała na niego skonsternowana. — A ja myślałam, że wszystko już załatwione...

— Ja też — przerwał jej gorzko. — Pracownicy opracowywali już kontrakty. Brakowało jedynie podpisów.

— A więc dlaczego? — wyrwało się Tansy.

— Oficjalnie? — wzruszył ramionami. — Cięcia finansowe. Nieoficjalnie? — Twarz mu się wykrzywiła. — Tak się złożyło, że wiem, iż Tregarth maczał w tym palce. Jak słyszałem, jest przyjacielem jednego czy dwóch dyrektorów.

— Ale z pewnością nie mógł...

— Czyżby... — W głosie Marka czaiła się nuta cynizmu, gdy jej przerwał. — To nie byłby pierwszy raz, kiedy zepsuł nam interes, i pewnie nie ostatni.

— Na pewno nie da się już nic zrobić? — naciskała Tansy.

— W obecnym stadium niewiele — odparł. — Ale jakoś sobie poradzimy. Zawsze musieliśmy jakoś radzić sobie z Tregarthem.

Mimo filozoficznego nastawienia Marka wiedziała, jak bardzo cierpiał z powodu zerwania kontraktu, z którego był tak dumny. A jednak za jego słowami kryło się coś jeszcze. Tregarth nie był wszechmocny; będą inne kontrakty. Wcześniej czy później będzie musiał pogodzić się z faktem, że traci czas i że jego taktyka nie odnosi spodziewanych rezultatów. Lecz teraz, tuż po pożarze, strata kontraktu była ciosem...

— Heather bierze dzień lub dwa wolnego — oznajmił Mark zmieniając temat.

— Żeby mnie unikać? — Ton Tansy był ostry. — Nie ma potrzeby, nie będę jej ścigała. Jeśli chciałaby porozmawiać, wie, gdzie mnie szukać.

Czuła się paskudnie mimo swej determinacji. Byłoby smutno, odnalazszy przyrodnią siostrę, nie nawiązać z nią kontaktu. Rozumiała jej uczucia i miała nadzieję, że z czasem ulegną one zmianie.

Po lunchu poszła na spacer, wiedząc, że to ostatnia szansa obejrzenia wyspy. Dotarłszy do miejsca, gdzie droga wznosiła się w las, skierowała wzrok w stronę Jaskini Merlina. Z tej odległości nie mogła jej dostrzec, a jednak myślami bez trudu wróciła do momentu, gdy Mark ją tam zabrał. Teraz wydawało się to tak dawno temu, tak wiele rzeczy wydarzyło się po drodze, jednak spokój, jakiego doznała w tym magicznym miejscu, głęboko utkwiał jej w pamięci. Teraz właśnie ogarnął ją taki spokój... Odwróciła się i ruszyła w kierunku Lodge. Przy furtce natknęła się na kogoś i serce jej podskoczyło, gdy rozpoznała sylwetkę Heather. Przyspieszyła kroku, podeszła do niej i uśmiechnęła się.

— Heather! Cieszę się, że cię widzę!

— Czy możemy porozmawiać? — Heather spojrzała na nią z wahaniem.

— Oczywiście! Wejdz...

— Nie, porozmawiajmy raczej idąc ścieżką — zasugerowała Heather.

— Jak wolisz. — Tansy ruszyła u boku dziewczyny przyglądając się jej uważnie. Była blada; oczy zdradzały długi płacz i Tansy westchnęła, wiedząc, że ona sama jest sprawczynią tego wszystkiego. Było widać, że Heather brakuje słów. Tansy cierpliwie poczekała, aż tamta odzyska równowagę.

— Zdecydowałam się opuścić Calanarę — powiedziała w końcu Heather.

— Opuścić? — Tansy spojrzała na nią zdziwiona. — Ale...

— Myślałam nad tym trochę — zapewniła ją Heather. — Miałam kilka ofert, jedną z nich z mojej starej uczelni. Zawsze chciałam zajmować się badaniami, więc...

— Czy Mark wie o twojej decyzji? — zapytała Tansy. Heather pokręciła głową.

— Dopiero się do niego wybieram.

— Czy to nie z mojego powodu? — Tansy chwyciła ją za ramię. — Nigdy tego nie chciałam.

— Nie, mam inne. — Nagle twarz Heather zmarszczyła się i wybuchnęła płaczem. Tansy stanęła i objęła ją.

— To moja wina — przemówiła wreszcie Heather ledwie słyszalnym szeptem. — To ja podpaliłam łąkę, ja to zrobiłam...

— Nie mów już o tym — delikatnie przerwała Tansy. — Ja i tak już wiem.

— Wiesz? — Heather spojrzała na nią przez łzy. — Skąd?

— To nie ma znaczenia — mruknęła Tansy. — Ale nie przejmuj się. Mark nie wie.

— Będę musiała mu powiedzieć — nalegała Heather.

— Dlaczego? — zaprotestowała Tansy. — Nie ma powodu, aby kiedykolwiek się o tym dowiedział...

— Tak, jest. — Heather powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Głos miała ściszony, lecz pewny. Spojrzała na Tansy ze zdziwieniem.

— Nie jesteś zła, że to moja wina? Tansy pokręciła głową.

— Przypuszczam, że to z powodu tego, o czym się dowiedziałeś, słysząc moją rozmowę z Markiem?

Heather wykonała bezradny gest.

— Znienawidziłam wówczas na moment Bensona — powiedziała niepewnie. — Pozwolił mi uwierzyć, że byłam jedną z Whittonów, przez wszystkie te lata. Powinien był mi powiedzieć. Ktoś powinien był to zrobić — drżały jej wargi.

Trzymając ją, Tansy czuła, jak szloch wzbiera się jej w krtani i mocno objęła przyrodnią siostrę ramionami.

— Dałabym wszystko, abyś dowiedziała się tego w inny sposób — powiedziała w końcu roztrzęsionym głosem. — Ale tak bardzo chciałam cię odnaleźć, Heather.

— To, że dowiedziałam się wszystkiego w taki właśnie sposób, wcale nie tłumaczy mojego postępku — upierała się Heather. — Chciałam się na nim odegrać w jedyny możliwy sposób. — Jej oczy ponownie napełniły się łzami. — Zniszczyłam tę przepiękną łąkę tylko dlatego, że nie mogłam pogodzić się z faktem, że jestem tym, kim jestem. Zachowałam się jak przestępca...

— Nie! — przemówiła gwałtownie Tansy. — Byłaś przybita, Heather. To musiał być wielki szok, dowiedzieć się czegoś takiego o swoich rodzicach. Każdy mógłby wówczas zrobić coś, czego by potem żałował.

— Chciałam zgasić ten ogień, naprawdę chciałam!

desperacko wyrzuciła z siebie Heather. — Gdy tylko zobaczyłam płomień, zdałam sobie sprawę z szaleństwa tego, co zrobiłam! Ale one były zbyt wielkie, Tansy; nie potrafiłam ich ugasić! Wówczas wpadłam w panikę i pobiegłam po pomoc. Ale było już zbyt późno, a potem nie chciałam już, by ktokolwiek dowiedział się, że to moja sprawka!

— Nikt się nie dowie — uspokajała ją Tansy. — Wie tylko dwoje ludzi oprócz ciebie i mogę ci obiecać, że nigdy i nikomu o tym nie powiemy.

Uśmiechnęła się, by dodać Heather otuchy i po chwili tamta odwzajemniła uśmiech przez łzy. Wówczas ogarnęła Tansy wdzięczność. W jakiś dziwny sposób w ciągu ostatnich kilku chwil ona i Heather przekroczyły pewną barierę i zawarły pakt, iż zapomną o goryczy i błędach przeszłości. Czuła się bliżej Heather niż kiedykolwiek od momentu przybycia na wyspę. Prawie się nie znały, a jednak były siostrami...

— Heather — przemówiła z bólem w głosie. — Czy musisz odjeżdżać? Dopiero co się odnalazłyśmy.

— Muszę, czy tego nie widzisz? — Heather spojrzała na nią przejmująco. — Potrzebuję czasu, nie mogę zostać tutaj.

Miała rację, przyznała jej Tansy w duchu. Dla swego własnego dobra powinna opuścić Calanarę. Lekko dotknęła ramienia Heather.

— Kiedy wrócisz, łąka będzie znów kwitła — powiedziała. — Mark tego dopilnuje.

— Wiesz, nigdy tak naprawdę nie czułam się przypisana do tego miejsca — mówiła już nieco spokojniej Heather. — Wróciłam tu po studiach tylko ze względu na Bensona. No i oczywiście Marka. Ale od dłuższego czasu wiem, że Mark nie czuje do mnie tego samego, co ja do niego i nigdy nie będzie czuł. Lepiej dla nas obojga, jeśli odjadę. Być może tam znajdę kogoś, kto będzie mnie kochał tak, jak pragnę być kochaną. — Spojrzała na Tansy. — Tak jak Mark kocha ciebie...

— To, co Mark do mnie czuje, to nie miłość — wtrąciła się Tansy z niepewnym uśmiechem. — Jeśli dlatego pragniesz wyjechać, to zapomnij o tym! On jasno wyraził swoją opinię o mnie. Teraz też toleruje mnie jedynie dlatego, ponieważ jestem, jak on to mówi — „szefem”.

— Mylisz się! — wykrzyknęła Heather. — Jest napuszony i dumny, wstydzi się ujawnić swe uczucia do szefa w spódnicy! Daj mu czas do zejścia na ziemię i odkrycia się z tym, Tansy.

Tansy pokręciła głową.

— Nie mogę w to uwierzyć. — Spojrzała bezradnie na swą towarzyszkę. — Mylisz się w tym względzie.

Heather spuściła wzrok.

— Znam Marka już od dawna i mówię ci, że znaczysz dla niego o wiele więcej, niż ci się wydaje — wyszeptwała. — A skoro ja nie mogę go mieć, ty jesteś osobą, z którą widziałabym go najchętniej. — Uczyniła jeszcze jeden wysiłek i dodała: — Lepiej już tam pójść i wszystko mu opowiem, zanim stracę odwagę.

— Nie musisz tego robić! — Tansy chwyciła ją za ramię, lecz dziewczyna lekko uwolniła się z jej uchwytu.

— A jednak muszę — powiedziała cicho. Odwróciła się i odeszła, zanim Tansy mogła cokolwiek dodać.

Obserwowała, jak tamta odchodzi, a gdy dotarła do schodów Lodge, jej twarz tonęła we łzach. Zdawało się jej, że sprowadziła jedynie kłopoty na wszystkich ludzi na wyspie. Im szybciej wyjedzie, tym lepiej.

Tego wieczora patrzyła intensywnie na Marka. Laura namówiła ją na wspólną pożegnalną kolację.

— Rozmawiałam wcześniej z Heather. Szła właśnie do pana.

Skinął głową.

— Nie jestem zaskoczony jej zamiarem opuszczenia wyspy — skomentował. — Od jakiegoś czasu wyczuwałem w niej napięcie, a wczorajsze wypadki tylko to potwierdziły. A więc jeśli nadal wini pani siebie, proszę o tym zapomnieć. Opuszczenie Calanary to najlepsze rozwiązanie dla Heather. Wieść o tym, że nie należy do Whittonów, pozwoli jej rozpocząć własne życie.

Tansy milczała, zastanawiając się, czy mężczyzna naprawdę w to wierzy, czy tylko chce przekonać ją o znikomej roli, jaką odegrała w podjęciu przez Heather tej decyzji.

— A jednak czuję się, jakbym to ja ją stąd wypłoszyła — powiedziała w końcu.

— To nonsens! — zaprotestował. — Heather się tu marnuje. Ona jest bardzo zdolna, jak pani wie. Opuściwszy to miejsce, zajdzie daleko.

— Ale kto pomoże panu zasadzić ponownie łąkę? — zapytała Tansy. — Bo przecież planuje ją pan ponownie zasadzić, prawda?

— Zapewniam panią, że tak właśnie zrobimy — stwierdził. — To nie aż takie trudne. Mamy tu prawdziwych fachowców. Proszę nie zapominać, że łąka została tylko częściowo zniszczona.

Tansy spojrzała na niego w zamyśleniu. Czy Heather rzeczywiście powiedziała mu o swej odpowiedzialności za pożar, tak jak obiecywała? Oczekiwała, że sprawa ta zostanie poruszona, ale nic na to nie wskazywało. Dlaczego jednak miałby o tym wspominać? Dlaczego miałby zdradzać Heather, wieloletnią koleżanką i przyjaciółką wobec kogoś, kto był mu prawie obcy? Było naturalne, że próbuje chronić Heather z obawy, że Tansy, właścicielka firmy, podejmie jakieś działania przeciwko niej, dowiedziawszy się prawdy. Sprawka Heather była przestępstwem, choć być może nie zamierzonym. Miała świadomość, jak lojalni są wobec siebie ci ludzie i żałowała tylko, że ta lojalność nie rozciąga się na nią. W końcu była wnuczką Bensona Whittona, właściciela tej firmy. A jednak nadal traktowano ją jak osobę obcą. Powinno się jej powiedzieć prawdę na temat łąki i powinien to zrobić właśnie Mark Harmon. Zrozumiała, że jego myśli biegną pewnie tym samym torem, ponieważ spojrział na nią wymownie, a potem odwrócił się tak, że nie widziała jego twarzy.

— Rozwiązałem tajemnicę podpalenia łąki — powiedział przez ramię. — Heather wyznała mi, co się stało. Wygląda na to, że tam poszła, by być przez chwilę sama po usłyszeniu naszej rozmowy. Zapaliła papierosa i ze zdenerwowania nie zgasiła zupełnie zapalki, zanim ją odrzuciła. Zdała sobie z tego sprawę zbyt późno, gdy łąka już płonęła.

Tansy w milczeniu patrzyła na jego plecy. A więc tak zamierzał jej to przekazać. Była mu za to wdzięczna. Mark nie zdradził Heather wobec niej, a ona nigdy mu nie wyjawiał, że zna prawdziwą historię, bo wówczas musiałyby wydać Joego, który zwierzył jej się w zaufaniu i sprawa niezmiernie by się rozrosła... Tym razem będzie inaczej. Wyciągnięcie wszystkich faktów na jaw zraniłoby jedynie wiele ludzi, a tego miała już dość. Świadoma, że Mark oczekuje jakiejś reakcji, westchnęła.

— No cóż, czegoś takiego się spodziewaliśmy. Ktoś musiał to zrobić przez nieuwagę. Martwienie się niczego nie zmieni. Powinniśmy raczej myśleć, jak najszybciej odbudować straty.

— My? — odwrócił się do niej, marszcząc brwi. Teraz, gdy uporali się już z tematem Heather i łąki, wydawał się bardziej zrelaksowany. — Myślałem, że odpływa pani porannym promem?

— Tak, odpływam — potwierdziła Tansy. — Muszę wracać najszybciej jak to możliwe. Pamięta pan, co mówiłam o kłopotach w biurze?

— Tak — spojrzał na nią z namysłem. — Co zamierza pani z tym zrobić?

— No cóż, na pewno nie zamierzam siedzieć spokojnie i patrzeć na wszystko z boku — powiedziała. Jej twarz wykrzywiło wspomnienie dwulicowości Mike'a Hollingwortha i zdrady Davida.

— Wcale się tego nie spodziewałem — odparł Mark. — A co się stanie, jeśli pani szef odmówi współpracy, a na to się zanoszą, skoro zamierzał już powierzyć tę sprawę komuś innemu?

Tansy bez wahania odparła:

— Przekażę mu swoją rezygnację i dołączę do rzeszy bezrobotnych — uśmiechnęła się kwaśno. — Prawdę powiedziawszy, z ochotą odejdę. Mike nie był najlepszym pracodawcą. Nie powinnam mieć też zbyt wielu trudności z dostaniem nowej pracy.

Mark milczał przez dłuższą chwilę, a gdy już przemówił, zrobił to bardzo ostrożnie:

— Jeśli nie boi się pani nowych wyzwań, dlaczego nie przyłączy się pani tutaj do nas? Obiecuję, że nie będzie się pani nudziła. Przez kolejnych parę tygodni zapowiada się mnóstwo roboty w związku z tym, że Tregarth wie, iż przegrał. Będę bardzo zajęty rozpracowaniem jego kolejnego ruchu i równoczesnym prowadzeniem firmy. Jestem bowiem pewien, że nie pogodzi on się tak łatwo z odmową. Jeszcze jedna para rąk mogłaby okazać się niezwykle pomocna, wzięwszy pod uwagę wyjazd Heather.

Tansy spojrzała na niego.

— Proponuje mi pan pracę swojej asystentki? — zapytała po chwili.

Wyglądał na zmieszanego.

— Byłoby to trudne — stwierdził. — W końcu pani jest właścicielką, dopóki nie zdecyduje pani inaczej. Ma pani głowę pełną pomysłów i pani rady bardzo by się przydały. Jeśli skupiłaby się pani na prowadzeniu interesu, ja zająłbym się kwestiami handlowymi.

Prawdę powiedziawszy... — zawahał się, po czym ciągnął dalej: — Od pewnego okresu rozmyślałem o zajęciu się handlem wysyłkowym, ale nie miałem na to czasu. Teraz, gdy supermarket wycofał ofertę, możemy znów próbować na tym polu. Początkowo będzie trudno, będziemy musieli rozpocząć wielką kampanię reklamową, ale o tym nie muszę pani mówić. To przecież pani zawód. — Spojrzał na nią. — Zainteresowana?

Tansy nie odpowiedziała od razu. Ta propozycja zaskoczyła ją, gdyż wcześniej myślała, że Mark chce wszystko utrzymać we własnych rękach. I dlaczego teraz myślała w inny sposób o pozostaniu na wyspie niż na początku, gdy w ogóle nie brali tego pod uwagę? Pomysł Marka stwarzał wielkie możliwości; szansę rozwinięcia zupełnie nowej firmy, w której mogłaby wykorzystać swe atuty. Ale czy nie byłaby to zamiana dominacji Mike'a Hollingwortha na dominację Marka Harmona? Zaznaczył jednak jasno, że nie będzie się wtrącał do prowadzenia firmy od tej strony.

— Walczylibyśmy ze sobą — powiedziała w końcu bezradnie. — Cały czas byśmy się spierali.

— To możliwe — zgodził się spokojnie. — Ale w ten sposób życie nie byłoby nudne. To mogłoby zainteresować nas oboje; wspólne prowadzenie firmy tego typu. Proszę o tym pomyśleć.

Tansy spojrzała w bok, by nie ujawnić swych uczuć. Potrzebowała czasu do namysłu, zaskoczona tą propozycją.

— Nie musi pani tego traktować jako rzeczy wiążącej na całe życie — odezwał się niespodziewanie. — Raczej jako przedłużenie pobytu na czas znalezienia dla siebie odpowiedniej pracy. Jednak nauczenie się paru rzeczy o interesach w ogrodnictwie mogłoby być interesujące. To przecież dużo więcej niż tylko sadzenie roślinek.

Tansy spojrzała na niego ponownie. Nie wspominał już o utworzeniu spółki pracowniczej. Czyżby zmienił zdanie, czy też nie uzyskał wystarczającego poparcia innych? Jego poświęcenie dla firmy było ewidentne. Musiałaby być ślepa, aby tego nie dostrzec. Pozostawienie firmy w rękach jej pracowników wydawało jej się coraz bardziej

sensowne w przeciwieństwie do sprzedaży komuś obcemu. Może nie było tak lukratywne finansowo, lecz w pełni satysfakcjonujące dla obu zainteresowanych stron.

— A co z pomysłem utworzenia spółdzielni? — zapytała. — Czy nadal chodzi panu po głowie?

Poczekał moment z odpowiedzią.

— Ufam, że sprawy ułożą się na tyle pomyślnie, iż nie będzie to konieczne — wymruczał w końcu.

Tansy zmarszczyła brwi. Co miało oznaczać to tajemnicze stwierdzenie? Czy nadal myślał, że namówi ją, by pozostała tu jako właścicielka? Czy dała powody do takiego wniosku? Ostatnio stosunki między nimi tak się poprawiły, że nie wiedziała teraz dokładnie, na czym stoi. W każdym razie nie musiała już sprzedawać firmy. Mogła pozwolić sobie na odczekanie.

— Muszę wyjechać i przemyśleć pewne rzeczy, Mark — oznajmiła. — Potrzebuję na to czasu. Jeśli zdecyduję się powrócić na jakiś okres, tak jak pan sugeruje, będę chciała mieć swobodę decyzji przynajmniej równą pańskiej.

— Naturalnie — spojrzał na nią. — Czy to znaczy, że pani się zgadza?

— Tego nie powiedziałam. Mówiłam jedynie, że...

— Wiem, co pani mówiła — wtrącił się. — I niczego innego nie oczekiwałem. Nie od wnuczki Bensona Whittona.

Na takie stwierdzenie Tansy nie znalazła już żadnej odpowiedzi...

Wieczór minął szybko. Tansy przyjęła zaproszenie Laury do spędzenia ostatniej nocy w Gatehouse Cottage. Nie miała zbyt dużo kłopotów ze spakowaniem się. Wszak zabrała ze sobą rzeczy tylko na dwa dni. A jak długo została tu w rzeczywistości? Wydawało się, że całą wieczność. Nie chciała wcale wracać do zgiełku i hałasu miasta i myśl ta zaskoczyła ją. Zwykle ten rozgardiasz stanowił dla niej swego rodzaju wyzwanie. Nawet jeśli nie miała już tu powrócić, Calanara wiele ją nauczyła. Rozmyślała o tym wszystkim, patrząc przez okno sypialni na oświetlony księżycowym światłem teren. Panował tu spokój, do jakiego nie nawykła, lecz bardzo jej się on podobał. Czy gdyby tu nie przybyła, myślałaby w ten sposób o naturze? Czy legenda o jakichś małych kwiatach wywarłaby na niej aż takie wrażenie, gdyby usłyszała ją w mieście? Miała nawet wątpliwości, czy ta legenda przetrwałaby w ogóle poza wyspą. Zostałaby z pewnością zapomniana przez żyjących w

pośpiechu ludzi. Tylko tutaj, na Calanarze, legenda ocaliła swój czar... Usłyszała lekkie pukanie do drzwi, a potem głos Laury.

— Wejdz, Lauro. — Odeszła od okna i z uśmiechem przywitała wchodzącą staruszkę. Ta niosła ze sobą tacę z parującym dzbankiem.

— Pomyślałam, że możesz chcieć napić się kakao — wymruczała.

— Dziękuję. Z ochotą się napiję. — Tansy wzięła dzbanek.

Laura wpatrywała się w nią intensywnie, stojąc przy łóżku.

— W ten sposób mam szansę pożegnać się z tobą — powiedziała po chwili. — Tak bardzo cię już polubiliśmy.

Nie były to tylko czcze grzeczności. Tansy wiedziała, że Laura mówi szczerze. Przysunęła się bliżej i dotknęła ramienia staruszki.

— Mnie również bardzo podobał się pobyt tutaj, pomimo złego początku — wyszeptła. — Chciałabym tylko — zawahała się — żeby Heather nie odjeżdżała. Nie mogę pozbyć się myśli, że gdyby nie mój przyjazd, rzeczy potoczyłyby się zupełnie innym torem.

— Może masz rację, ale i tak w końcu stanęłoby na tym samym — odparła Laura. — Mark nie ożeniłby się z nią. Teraz przynajmniej będzie miała okazję znaleźć sobie kogoś odpowiedniego. Mark nigdy nie był właściwą osobą.

— Nie jesteś zawiedziona? — Tansy spojrzała na nią uważnie. — Heather byłaby doskonałą synową.

— Wszystko się jeszcze jakoś ułoży — uśmiechnęła się Laura.

Tansy odniosła wrażenie, jakby staruszka chciała jej coś powiedzieć między wierszami, toteż szybko domyśliła się, o co jej chodziło... Jeśli tylko wszystko potoczyłoby się po jej myśli — spojrzała wymownie na kobietę.

— Mark zaproponował mi pozostanie na jakiś czas w firmie. Planuje przejście na sprzedaż wysyłkową i sądzi, że mogłabym postawić to na nogi. — Jeszcze raz zerknęła na Laurę. — Nie jestem pewna, co powinnam zrobić...

Laura przez chwilę nie odpowiedziała.

— On musi rzeczywiście bardzo chcieć, abyś tu została, skoro to zaproponował — powiedziała w końcu. — Zawsze chciał prowadzić wszystko sam. Przyda mu się partnerka w interesach.

— Jeszcze się nie zgodziłam — stwierdziła szybko Tansy.

Jedyną odpowiedzią Laury był delikatny uśmiech...

Pożegnanie następnego ranka nie było najłatwiejszą rzeczą. Pośpieszyła do szklarni pożegnać się także z pracownikami. Nadszedł

wreszcie czas udania się na prom. Whitton Lodge zostało powtórnie zamknięte, a klucz przekazany Laurze.

— No cóż, Lauro... — Tansy wzięła dłoń staruszki w swoją. — Nadszedł czas powiedzieć „żegnaj”.

— Do widzenia — poprawiła ją Laura. — Będę się zajmować Lodge do twojego powrotu.

Tansy skinęła głową i wzruszenie ścisnęło jej gardło. Laura była pewna jej powrotu, a ona nie oponowała. Szybko ruszyła ku drzwiom. Na prom odwoził ją Mark. Heather odpływała tym samym promem i udawała się tam z rodzicami.

Wyspa wyglądała szczególnie ślicznie, gdy jechali przez jej otwarte przestrzenie i Tansy cały czas rozglądała się wokół. Owładnięta nagłą myślą zwróciła się do Marka:

— Mam nadzieję, że w swoich planach sprzedaży wysyłkowej nie brał pan uwagę Łez Merlina? — zapytała. — To byłby błąd, Mark.

— Już wcześniej próbowano tego bez sukcesu — odparł. — Ale zanoszą się na to, że te kwiaty przeznaczone są wyłącznie dla nas.

Tansy spojrzała na niego w zamyśleniu.

— Pomimo pańskiego cynizmu na ten temat nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nie uważa pan legendy jedynie za przejaw lokalnego folkloru.

— Muszę w nią wierzyć, jestem wyspiarzem — powiedział. — Jedynie ludzie z miasta, spoza wyspy, śmieją się z podobnych historii.

— Tak jak ja? — szepnęła Tansy, posyłając mu długie spojrzenie.

Przez moment nie odpowiedział.

— Pani ma wyspiarską krew w swoich żyłach czy chce pani tego, czy nie — stwierdził wreszcie. — Teraz pani odjeżdża, ale jeszcze pani tu wróci. A kiedy już pani wróci, to wcale nie z poczucia obowiązku, ale ze szczerej chęci.

Tansy spojrzała w dal. W ten sposób zdawało się, że jej przyszłość została już rozstrzygnięta...

Parkerowie byli pierwszymi ludźmi, jakich zobaczyła po przybyciu do terminalu. Spotkawszy się z nią wzrokiem, pani Parker odwróciła głowę i szybko odeszła dając do zrozumienia, że nie ma chęci na rozmowę. Tansy wzruszyła jedynie ramionami. Nie miała szansy na porozumienie się z tą kobietą.

— Cześć — przywitała ją bladym uśmiechem Heather. — Chyba zapowiada się przyjemny rejs.

— Czy już dzisiaj idziesz na spotkanie w sprawie nowej pracy?— zapytała Tansy.

— Tak. Dzisiaj na pierwsze, w mojej starej uczelni, a jutro na drugie, w instytucie badawczym — oznajmiła Heather.

— Uważaj tam na siebie — poprosił z troską Harold Parker. — Może panna Forester trochę ci przypilnuje.

— Nie jestem dzieckiem, tato! — Zaprotestowała Heather.

Naturalny sposób, w jaki zwróciła się do niego jako ojca, upewnił Tansy, że nie wyrządziła Heather aż tak wielkiej krzywdy, jak myślała... Nagle coś jej przyszło do głowy.

— Możesz zatrzymać się u mnie, jeśli jeszcze nic nie załatwiłaś— powiedziała szczerze. — Mieszkam całkiem niedaleko od uczelni, jak pewnie pamiętasz, i mam mnóstwo miejsca w domu.

Heather zawahała się.

— To wygląda na dobry pomysł — stwierdził nieoczekiwanie Mark. — Może rzeczywiście tak zrobisz, Heather?

Tansy poczuła dla niego wdzięczność. Wiedział, jak wiele znaczy dla niej przyjaźń Heather.

— Cóż, jeśli jesteś pewna, że nie będę ci przeszkadzała? — powiedziała Heather z wahaniem.

— Ależ nie będziesz! — stwierdziła szybko Tansy. — Twoje towarzystwo sprawi mi jedynie przyjemność.

Na myśl, że nie stracą kontaktu poza wyspą, przeniknęło ją miłe uczucie. Zdała sobie też sprawę, że obie potrzebowały nieco odpoczynku od wyspiarskich spraw; z dala od wspomnień i powiązań. Na stałym lądzie, gdy już będą to miały za sobą, będą mogły zacząć wszystko na nowych warunkach, bez obciążeń przeszłością.

Potem odeszła na bok, pozwalając Markowi pożegnać się z Heather. Stali kilka metrów z boku, czekała, aż skończą rozmowę. Zastanawiała się, co mężczyzna czuł na myśl, że ktoś tak mu bliski był odpowiedzialny za częściowe zniszczenie jego ukochanej łąki i wydawało się jej, że go rozumie. Nie winiła go za tak szybką zmianę stosunku do Heather, chociaż nade wszystko chciała, by ci dwoje nadal pozostali przyjaciółmi. Zastanawiała się także, jak szybko wszystko uległo zmianie. Ona i Heather zamieniły się miejscami, jednak patrząc na twarz dziewczyny, wiedziała, że było to właściwe rozwiązanie. Czowała się jedynie dziwnie na myśl o rychłym powrocie na wyspę. I wówczas uprzytomniła sobie nagle, że w gruncie rzeczy chce tu zostać, chce stawić czoło wyzwaniu. Cóż takiego czekało ją na lądzie? David, który przekładał ambicje nad

przyjaźń? Praca, w której nie mogła liczyć na docenienie swych wysiłków, choć bardzo by się starała? Puste mieszkanie i perspektywa szukania nowej pracy? Tutaj na Calanarze miała nie tylko pracę, ale i lojalnych przyjaciół. Istniał również inny powód, który w tej chwili zaczął dominować nad całą resztą; nie chciała opuszczać Marka Harmona. Ich początkowe starcia zamieniły się w tolerancję. Teraz nawiązywali przyjaźń opartą na wzajemnym szacunku. Przyszłość stanowiła jedną wielką niewiadomą. Nie miała żadnej gwarancji, że mężczyzna odwzajemni wzbierające w niej uczucia. A stawały się one coraz silniejsze od momentu jego zerwania z Heather. Ludzie zaczęli już wchodzić na prom, a on znów pojawił się obok niej.

— No cóż, Tansy. — Spojrzał na nią pytająco. — Sądzi pani, że wkrótce się spotkamy?

Mogła zbyć go byle jaką odpowiedzią, obietnicą powrotu w nieokreślonym czasie że w ciągu kilku ostatnich minut podjęła decyzję, która miała zmienić bieg jej życia i nagle zapragnęła, by on także o tym wiedział.

— Sądzę, że wrócę na weekend po uporaniu się z kłopotami w biurze — powiedziała niepewnie. — Przywiozę z sobą trochę literatury na temat kampanii reklamowych. Wtedy zabierzemy się do wszystkiego i zaczniemy planować...

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Ludzie potrącali ich, a w powietrzu rozbrzmiewały dźwięki promowej syreny. Gdy Tansy obróciła się, by odejść, Mark złapał ją za ramię, odzyskując nagle głos.

— Będę czekać — wyznał.

RS